

POD CIERNIOWĄ KORONĄ

1-40

IZA MOSZCZEŃSKA

POD CIERNIOWĄ KORONĄ

POWIEŚĆ



WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF



57367

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. □□

1913

K-367/75/59698

Różowe blaski zachodniego słońca padały przez szeroko otwarte drzwi balkonu do wnętrza wielkiej jadalni szpitalnej, gdzie rekonwalescentki zajęte były zwijaniem bandaży, rozmawiając żywo, plotkując trochę, sprzecząc i przekomarzając się dla zabicia czasu. Prym trzymała pani Szurkowa, najzręczniejsza w robocie, ba! doświadczona i wprawna, boć już od ośmiu miesięcy nie wychodzi ze szpitala Cierniowej Korony i jest tam, jak u siebie w domu. Nigdzie jej tak dobrze nie było. Nigdzie nie była tak ważną figurą. Odrazu wzbudziła tu wielkie zainteresowanie, poprostu nawet piorunujący efekt, dziurami na wylot w czasie. Była to bardzo rzadka choroba, bardzo nadzwyczajny wypadek. Można powiedzieć, że doktorzy byli zachwyceni okazją reparowania takiej osobliwej chorej.

Różnie tam mówiono o tej osobliwości. Wprawdzie pani Szurkowa opowiadała, że nabawiła się ran przez jakiś gwóźdź, sterzczący u drzwi do piwnicy, gdzie szła po ciemku — »i stąd ten cały feler był«. Inni mówili inaczej. Że się choroby nabawiła po ciemku — temu nie przeczo, lecz krążyły wieści, że chorowała już bardzo długo, zanim do dziur w głowie doszło i że Szurkowa musiała się najprzód na coś innego leczyć, nim ją puszczo — do pawilonu chirurgicznego, gdzie zaraźliwych chorych nie przyjmowano wcale.

Dziś była w każdym razie chlubą pawilonu. Lekarze dumni byli ze swej roboty. Nietylko czaszka się zrosła, ale pani Szurkowa nabrała rumieńców i tuszy, odmłodziła i wróciły jej resztki minionych wdzięków, którym zawdzięczała może ów fatalny wypadek — w piwnicy. Siostry były na nią również niezwykle łaskawe, co wprawiało w podziw chore bigotki, zgorszone poniekąd, że »dobrodziunie« takimi przywilejami darzą tę »chytrą żydówicę«. Na ogół pobożność katolicka była przecież najlepszą i najpew-

niejszą drogą do serca zakonnic, bardzo starannie czuwających nad wszystkimi chorymi bez różnicy, ale dbałych stokroć więcej o zbawienie duszy, niż o ratunek dla ciała. Niedyskretna Wojciechowa odsłoniła raz rąbcek tajemnicy. Oto wedle jej mniemania siostry musiały ochrzcić chorą bezpośrednio przed operacją, gdy nieprzytomną była.

— To niepodobna — mówiła — żeby siostra Kasylda nie korzystała z okazji; katolików bez sakramentów, żydów bez chrztu nigdy do sali operacyjnej nie puści; chyba że kto pilnuje — dodawała.

Szurkowej oczywiście nikt nie pilnował, tak jak teraz nikt się jej powrotu do domu nie domaga. Dobrze jej, niech sobie siedzi.

Zakonnice tedy podobno widziały w Szurkowej chrześcijankę wbrew wiedzy i woli, cieszyły się, że ją od piekła wybawiły, śmiały się na myśl, jakiego jej cnotliwego figla wyplatały i jak się to baba zdziwi, gdy się kiedyś wśród świętych wybrańców w niebie znajdzie. Tymczasem dla omylenia jej podejrzeń same pilnowały, by swe

przepisy religijne wykonywała, zamiast trefnych pokarmów — koszerne jajka do jedzenia dawały, które to sprytna Szurkowa kolekcjonowała starannie i pocichutku chorym po tańszej cenie odsprzedawała. Tym sposobem oraz innymi ciułała sobie pieniądze na drogę do rodzinnego Kocka, dokąd jej zresztą wcale pilno nie było.

Rozmowa toczyła się o sprawach czysto lokalnych: o chorobach, operacjach, śmierciach, o doktorach i ich kompetencji, o czym wszystkie dawniejsze chore miały wyrobione i wytrawne zdanie.

— Bolskiemu to już wcale starsi doktorzy pono nie pozwolą operacji robić — taki niezdarny. Była wielka chryja, bo chorzy z dołu poskarżyli się na niego.

— To może dlatego tak się to wszystko dziś zleciało do opatrunkowej sali i tak coś pocichu rajcowali między sobą, a doktor Dłutowski nasrożony wyszedł. Widziałam go, jak na dół schodził.

— I »pani doktor«, kiedy mi pachę opatrywała, coś po francusku z wielkim impetem do Kętrzyńskiego mówiła. Bo i racya.

Co to za doktor, co krzywe gęby robi!! — rezonowała tuberkuliczna Stefka, młoda, chuda szwaczka, z ręką na temblaku.

— Krzywe gęby! Co pani mówi!? — zawołała jedna z nowoprzybyłych, oczekująca operacji, głęboko przekonana o wszechpotędze chirurgii, gdyż posługacz Józef powiedział jej, że tutejsi lekarze umieją człowieka na kawałeczki pokrajać, zeszyć i na nogi postawić.

— Cóż tam znowu, krzywe gęby! — poprawiła Szurkowa, bardzo o autorytet pawilonu troskliwa przez wdzięczność za doznane w nim honory. — Wielkie mecyje, że Małgosi się trochę wargę wykrzywiła po reparacji nad uchem! Taka rzecz to się każdemu zdarzy, że przetnie, co nie potrzeba, albo trochę więcej, jak potrzeba, i już. A może Małgosia sama winna? Może ona i jaką drugą chorobę miała i od tego ta wargę tak na bakier poszła?

— A ja wam powiadam, że doktor Bolski więcej operacji robić nie będzie. Co wiem — to wiem i już — wtrąciła Woj-

ciechowa, posługaczka, o cokolwiek długim języku i buntowniczym temperamencie.

— Żeby tam była jaka druga choroba, toby już doktorzy musieli poznać — rzekła delikatnym, stękającym głosem pani Mandelbaum. — Oniby się nie poznali? Dłutowski by nie poznał? Łzawicki by nie poznał? Moja pani Szurkowa! Jakie tylko choroby są, doktor Łzawicki napewno zgadnie, jak tylko na człowieka oczy obróci.

Mandelbaumowa wielbiła doktora Łzawickiego; miała głębokie przekonanie, że on nad jej chorobą tak cierpiał — tak cierpiał, jakby rodzonym ojcem był; zaręczała nawet, że płakał, gdy ją pod nóż brał.

— Co też pani Mandelbaumowa opowiada — wtrąciła jedna z nowoprzybyłych. — Coby to za doktor był, żeby nad każdym chorym płakał! — nie widziałby, gdzie krajać. Ja już dwie operacye przechodziłam — to wiem.

— Nad każdym, tego nie powiem, ale moja choroba — pani — moja choroba, to nie była zwyczajna. A ta reparacya! Te pani

dwie reparacye — to się równać nie mogą! Cóż to mogły być za reparacye?!

— A pani nie wie, jakie były — więc co mi pani opowiada. To były brzuszne operacye, trza pani wiedzieć — z dumą od-fuknęła chora, żona kolejarza z prowincyi, gruba baba, oczekująca operacyi trzeciej, takóŜ brzusznej, a jako bywalec szpitalny, świadoma, że ta kategoria chorych, jako najpowaŜniejszych, do arystokracji szpitalnej się zalicza.

— To i co? — ciągnęła Mandelbaumowa, nie dając za wygraną — tu na sali połowa chorych, a moŜe i więcej, potrzebuje pani wiedzieć — to brzuszne. Cóż z tego? Jedna, taka sucha staruszka, to w dziesięć dni po reparacyi już zdrowa do domu wróciła. A ja? pani — a ja? Przez siedmnaście dni to oka nie zmruŜyłam, a gorączka! Co to była za gorączka! Ja to mogę mówić o gorączce! Doktor Łzawicki...

Ale nikt jej już nie słuchał; wiadano oddawna, że u Mandelbaumowej wszystko było niezwykajne: i choroba, i lekarstwa, i operacya, i opatrunki, rana, temperatura,

nerwy, serce, macica — same osobliwości, istne panopticum patologiczne. Wszystkich rzekomo w podziw wprawiała — doktorów, felczerów, służbę szpitalną. Dziwili się, jak choruje; dziwili się, że wraca do zdrowia, że nie umarła, że taka słaba — taka bardzo delikatna! Rojenia o tym powszechnym podziwie były jej niemalą pociechą w dość ciężkiej istotnie chorobie i dość powolnej rekonwalescencji. Swą rolę — cudem do życia przywróconej pacjentki — szarżowała z lubością, znajdując w tem ulgę i zabicie czasu. Zwykle niechętnie wychodziła ze swego pokoiku, by nie mieszać się z pospolitą rzeszą kobiet prostych, chorych, ordynarnych, okaleczających, pobandażowanych, obrzydliwych. Teraz jednak tu jej było lepiej. Tam, w pokoiku — strach powiedzieć — leżała jakaś okropna rakowata, jęcząca nieustannie, wijąca się w boleściach, złorzecząca doktorom, chorym, służbie.

— Ja nie wtem, jak siostra Kasylda mogła mi to zrobić — skarżyła się Mandelbaumowa — przecież ja wcale spać nie będę przy niej, to mi zaszkodzi, to mnie dobije.

Czekała właśnie na siostrę, żeby ją prosić o przeniesienie swego łóżka choćby do wielkiej sali — choćby na korytarz.

Na sali były także ciężko chore, ale zachowywały się ciszej. Jedne spały po chloroformie i tylko przez sen jęczały, inne majaczyły trochę pod wpływem morfiny. Nawet ta, która zdawała się już dogorywać, stygła zwolna, cicho — nieruchoma i milcząca, pogrążając się w mroki śmierci.

Było to jakieś nikomu nieznane, młode, szesnastoletnie dziewczę.

Przyniesiono ją niewiadomo skąd, może z jakiegoś innego pawilonu, po długiej, ciężkiej chorobie, by spróbować operacji, jako ostatecznego środka ratunku.

Była odrazu milcząca, apatyczna, pewnie ledwo na wpół przytomna. Nikt jej głosu nie słyszał, prócz może siostr i doktorów, a i ci nisko się nachylali, by coś z jej szeptu wyrozumieć. Nikt jej też nie odwiedzał. Takie młode życie, a takie osamotnione, zaginione, zaprzepaszczone, ledwie tlejące — jak słaby ogarek dogasającej świeczki!

Chore nie zajmowały się nią wcale; dla

nich było to tylko jedno zajęte łóżko więcej, posępna plama na posępnem tle szpitalnego środowiska. Doznawały jednak pewnego zabobonnego lęku, mijając ten punkt sali, z którego lada dzień — wiedziały o tem dobrze — grabarze przyjdą wynieść trupa. Widok to nierzadki w szpitalu; każda, wchodząc tam, musiała być przygotowaną, że się z nim spotka — tak samo, jak z widokiem kalectw wszelkiego rodzaju. Większości chorych śmierć bezpośrednio zaglądała w oczy, a nie było ani jednej prawie, któraby w ten lub inny sposób okaleczoną lub zeszpeconą nie była. Mimo to odraza, obrzydzenie względem cudzych ran, wrzodów, szpetoty, strach przed ponurem widmem śmierci, przejmował wszystkie, i to tem silniej może, że widziały w niem jakby nieustającą groźbę, złośliwe przypomnienie, czem są i co je czeka. Z początku zwłaszcza każda chora czuła się jakoby pokrzywdzona tem, że się znajduje między innemi choremi, każda kaleka, że ją wśród samych kalek pomieszczono, spragniona zdrowia i życia, że ją dręczono widokiem pasujących się

ze śmiercią, konających i trupów. Później odrazę tłumil niekiedy instynkt sensacyi, ten sam rodzaj drapieżnej ciekawości, który ciągnie gapiów na krwawe widowiska, na plac egzekucyi lub do trupiarni. Jak się też to morduje, umiera? Jak się po śmierci wygląda? Takie to straszne, wstrząsające, a takie ciekawe!! Dreszcz przejmuje, a oczy na wierzch wychodzą.

Potem jeszcze jedna satysfakcya, można powiedzieć: »widziałam na własne oczy« — i wywoływać efekt grozy samem opowiadaniem.

Żądza efekciarstwa była może najpospolitszą cechą tych wszystkich chorych kobiet, przeważnie analfabetek, niemocą na bezczynność skazanych, o pustych mózgach, głodnych wrażeń i chciwie chwytających każde, któremby nudę długich dni i bezsennych nocy zabić mogły.

Ulubionym tematem rozmowy dla każdej z nich była jej własna choroba ze wszystkiemi jej perypetyami, zawsze przesadzana, podnoszona do kwadratu, jak gdyby toczyła się tu między całem zbiorowiskiem instynk-

tów samozachowawczych zagrożonych zawzięta walka konkurencyjna o najwyższą sumę starań, lekarskich zabiegów — o jak-najtroskliwszą pielęgnację. Najsilniej rozgorczone, najciężej pokrzywdzone czuły się te, którym lekarze wykazywali, że operacya niepotrzebna, a choroba sama przejdzie.

Jedna tylko nie brała udziału w tym ogólnym konkursie, tajemnicza pacjentka, budząca ogólne zaciekawienie swem niezwykłym zachowaniem się i niezwykłym do całego szpitala stosunkiem. Operację oczywiście przechodziła, ale i przedtem i potem wydawała się względnie zdrową, a przynajmniej nigdy słówkiem nie wspominała o własnych cierpieniach. Natomiast żywo interesowała się cudzemi. Bez lęku i odrazy zbliżała się do najciężej chorych, gdy było potrzeba im w czem pomódz. Oddawała im zresztą i takie usługi, jakich nikt inny nie spełniał.

— Moja pani... proszę pani — odzywał się jęklivy, słaby głos, z jakiegoś łóżka, gdy nieznajoma przechodziła przez wielką salę — czy to prawda, że pani umie pisać?

Nieznaczny uśmiech przebiegł po twarzy zapytanej:

— Umiem — odpowiedziała, zbliżając się do chorej. — A o co pani chodziło? Może list napisać potrzeba?

— A tak, bardzo, bardzo proszę; list do męża. Nie wiem, co się tam w domu dzieje; oni o mnie już od czterech tygodni nic nie wiedzą.

Zaczynały się długie zwierzenia o domowych sprawach, interesach, obawach, niepokojach. Z tego wszystkiego należało wycisnąć jakąś treść, rozróżnić, co napisać, co przemilczeć trzeba, sformułować pytania, dopowiedzieć niezbędne a zapomniane wyjaśnienia, wkońcu znaleźć sposób wysłania listu.

Czasem nie o list, lecz o jakąś prośbę lub podanie chodziło. Ta rola ogólnej sekretarki uczyniła ją powiernicą wszystkich trosk i niepokojów, doradczynią w trudnych i zawikłanych położeniach, czasem pośredniczką między chorem i zewnętrznym światem, czasem moralizatorką, hamującą wy-

bryki zniecierpliwienia i podejrzliwej złośliwości.

— Niech pani tego mężowi nie pisze; pani jeszcze nie wie, czy nie chciał, czy nie mógł przyjechać. Po co go martwić i gniewać?

Ta nienarzucająca się, dyskretna moralna opieka, rozciągana nad cierpiącymi, zjednała jej nazwę »dobrej pani«.

Zakonnice jednak, zwłaszcza siostra Kasylda, nie lubiły jej, choć były dla niej grzeczne — chłodną, oficjalną uprzejmością, jaką się chowa zawsze dla najbardziej obcych gości. Nie lubiły zwłaszcza jej stunków z choremi i ze służbą, która w nieobecności sióstr garnęła się do niej ufnie, lecz stroniła, gdy zwierchność w habitach ukazywała się na sali.

Sygnałem ostrzegawczym stał się dla nich moment, gdy »dobra pani« w rozmowie z Wojciechową z zainteresowaniem wypytywała o takie szczegóły, jak: co służba jada, ile razy dziennie, ile ma pracy i jakie za nią pobiera wynagrodzenie. Oczywiście ta niewczesna ciekawość wydała się mocno

podejrzaną i niebezpieczną, zważywszy, że posługaczki żywione były niesłychanie nędznie i pobierały minimum płacy za maximum ciężkiej, żmudnej, a nieraz i wstrętnej roboty.

»Dobra pani« istotnie była prawie tak ciekawa, jak Szurkowa, mało co mniej, niż ona wiedziała, a interesowała się nawet takimi rzeczami, które nikogo, nie wyłączając Szurkowej, nie zajmowały wcale.

Ot, i teraz, otulona wełnianym szalem, chodzi po wielkim balkonie za jadalnią i słucha z łagodnym uśmiechem szczebiotania małej »gosposi«, dwunastoletniej dziewczynki ze wsi, z obandażowanym uchem. Mała opowiada jej żywo, jak to dzisiaj »pani-doktor« zapowiedziała, iż wcześniej, niż za miesiąc, do domu jej nie puści, a tu »bez ten czas« i groch posiać i kartofle zasadzić będzie trzeba i ona nie wie, kto to »przez niej robi«.

— To ty w domu groch siejesz i kartofle sadzisz?

— Albo nie? — gwarzyła mała. — Tatus se sam »przezemnie« rady nie da, a ma-

tuś musi domu pilnować, bo jest nas sześć, bez tego, co umarło na gody i jedno przy piersi, jedno na czworakach, a jedno z chorą nóżką, co też przyjdzie do szpitala, jak mnie tę dziurę za uchem zagojom. Ociec mówili, że zobaczy, jakie tu doktory som; czy takie paskudziarze, jak tem w miasteczku, co mi tę ranę rozgnoił, czy lepe. Jak mi poradzą, to może co i Staškowi poradzą, to go przywiezie też. A jak nie, to nie. A jak pani myśli, som tu dobre dochotory?

— Ja myślę, że są bardzo dobrzy; a czy to cię »pani-doktór« źle opatruje? Mówiła mi, że twoja rana dobrze się goi, a ty podobno grzeczna i cierpliwa jesteś bardzo. Nie płaczesz przy opatrunku.

— A nie, bo i po co? Co mi z płakania przyjdzie? Czy to od tego się lepiej zrobi? Nie lepiej, jeno gorzej — rezonowała mała i westchnęła poważnie. — A co pani mówi, prędko to będzie ciepło?

— Już jest ciepło; dziś był taki cudny dzień.

Spojrzały po przez wielki, oparkaniony

dziedziniec szpitalny na daleki horyzont, oblany luną zachodniego słońca.

Zaróżowione niebo kopciło się smugami dymu z kominów fabrycznych. Z pobliskiej stacyi kolejowej rozległ się świst lokomotywy, a za nią pomknęły obłoki pary, jak biały sztandar, powiewający nad pociągiem, unoszącym ludzi zdrowych w daleki, gwarny świat.

Na krzewach i młodych drzewkach, rosnących na dziedzińcu, który miał z czasem przybrać wygląd parku, zaczynały już nabrzmiewać pąki, a z pod zgniłych warstw liści, rozesłanych po trawnikach, wynurzała się tu i owdzie zielona murawa.

— Oziminy już się pewnie ruszyły — świergotała dalej gospoia, cała duchem tkwiąca w wiosce rodzinnej — a ja myślę, co i liszki w sadzie się ruszą i potem będzie bieda, jak młode liście objadać zaczną. Czy to tatuś o drzewkach pamiętali! A może i pamiętali — dodała po namyśle.

— Może tam siostrzyczki i braciszkanie wyręczą cię i ojcu dopomogą? — zauważyła pani.



— Eh! gdzie-ta; to wszystko takie małe, głupie! — z serdecznem politowaniem objaśniała gosposia.

Pani objęła ją przyjaznem spojrzeniem. Tamte małe, a ona alboż to duża! Drobne mizeractwo, chudziutkie, bladziutkie, choć żwawe, ruchliwe i bystro niebieskimi ślepkami migające, swą niepospolitą, świeżą energią życiową tłumi ból próchniejącej za uchem kości, rwie się do roboty, do czynu, mimo nurtującej ją choroby. Zdrowy rozsądek tego chłopskiego dziecka bierze na cierpliwość i, licząc dnie i tygodnie, statecznie czeka chwili, która ją na tatusiowy zagon powróci.

— Czy chodziłaś do szkoły? Umiesz czytać? — zagadnęła ją pani, ale w chwili, gdy mała zaczynała właśnie odpowiadać, że drukowane czyta, a pisanego nie potrafi, z jadalni dobiegł je głos siostry Małgorzaty:

— Jagusiu, co ty tam robisz na balkonie? Wróć do pokoju, już późno; pacierz zaczynamy.

Jagusia w półsłowa przerwała rozmowę, nie chcąc się sprzeciwić dobrodziuni, i tylko

pełnem niedopowiedzianych słów spojrzeniem rzuciła pożegnanie swej towarzyszce.

Ta jednak na pacierz nie poszła; milcząco usuwała się od wszystkich praktyk religijnych, któremi gęsto i obficie przeplatano zabiegi i czynności lecznicze w szpitalu. Pacierze naprzemian z opatrunkami, religijne obrządki i ciężkie operacye, pobożne kantyczki i chorobliwe czkawki zlewały się harmonijnie w jednostajny obraz bezsilnego cierpienia, żebrzącego pokornym jękiem o litość i zmiłowanie.

Ot, i teraz właśnie — ponieważ post był wielki — po odmówieniu modlitw i litanii, zaintonowała siostra Kasylda dzwiecznym, choć trochę nosowym głosem pieśń o Męce Pańskiej: »Żal duszę ściska, serce boleść czuje, gdy słodki Jezus na śmierć się gotuje«.

Znowu tedy przed zmęczoną i wylęknioną wyobraźnią biednych, okaleczających istot roztoczono obraz krwi, ran, cierpień, śmiertelnych dreszczy i męczarni konania, jak gdyby los im i bez tego nie nastęrczał w przygnębiającej obfitości tych bolesnych

wrażen, jak gdyby myśl o śmierci — na którą niejedna z nich także »się gotuje« — nie ścigała ich tutaj nieustannie i na każdym kroku.

Irena umyślnie przymknęła za sobą drzwi balkonu, aby stłumić trochę echo kantyczkowych dźwięków i zakosztować na chwilę tak lubej a tak upragnionej samotności. Na jej młodą, hartowną, lecz wrażliwą duszę te nieustanne nabożne pienia działały dziwnie rozstrajająco. Z innego świata ona tu przysła, obcą jej była żebrząca pokora, poddańcza rezygnacya, jęcząca bezsilność.

Los, który ją rzucił teraz w tę gehennę bydlęcych cierpień, w tę kałużę krwi i ropy, nosił ją przedtem po szczytach podniebnych, z których wzrok miłośnie obejmował ludzkość i jej promienne nadzieje, gdzie szalały tragiczne wichry i najśmielszych w przepaść strącały.

Jeszcze w jej młodych, czarnych źrenicach palily się słabe refleksy łuny tego pożaru, w którym przetopić miano kształty przeżyte — na nowy ład. Dziś jednak zmatowała te blaski mgła głębokiego smutku,

tłumionego siłą woli, zagłuszanego czynami dobroci i miłosierdzia. Ten, »kto ran własnych ukoić chce żary, niech dłoń położy na sercu ludzkości«.

Miała ją tutaj, tę cierpiącą ludzkość, tuż pod okiem, w jej najnieszczęśliwszych, najbeznadziejniej zmaltretowanych przez los dzieciach. Patrzała na jej obnażone rany, na ciemnotę bezradną, na żalosne sieroctwo, na bezdomną nędzę. Cierpiąc z nią razem, zapominała o własnych bólach. A jednak!

Teraz w rzadkim momencie zupełnej samotności, gdy nikt ciekawem okiem nie podglądał jej twarzy, łzy trysnęły jej z oczu.

— Co to jest? Czemu ja płacę? Czy te pobożne pienia tak mnie zdenerwowały? — myślała.

W dali, w blaskach lamp elektrycznych, wrzało i szumiało miasto — rodzinne, ukochane, tak sympatycznie szalone, tak dziecinnie lekkomyślne i puste po dniach grozy i wstrząśnień. Między nią a niem dziś niewidzialna, nieprzelamana leży zaporą.

— Czy ja też jeszcze kiedy tam powrócę na nowe prace, nowe porywy, nowe

marzenia i złudzenia?! Czy wrócą te słodkie, wesołe chwile, gdy ja i one, i oni razem, ramię przy ramieniu, rwaliśmy się, by ruszać z posad bryłę świata? To przecież tak niedawna przeszłość, a tak zupełnie — tak bezapelacyjnie miniona! Żle jest w dwudziestym czwartym roku życia ku przeszłości wzrok zwracać, ale czemuż cała przyszłość wobec tej jednej, górnej a znikomej chwili?

Naraz przechyliła się nisko przez poręcz balkonu i pilnie na dół wpatrywać się zaczęła, jak gdyby chciała bystrym wzrokiem przebić nawskroś wciąż gęstniejący wokoło mrok. Ktoś tam szedł wzdłuż ścieżki, od sąsiedniego pawilonu wiodącej; szedł dziwnie ukradkowo, jak gdyby wybierał najgłębszy cień i w nim swą osobę zamaskować usiłował. Była to zresztą ostrożność niemal zupełnie zbyteczna. Nigdy nie bywało wokoło pawilonu tak pusto, jak o tej porze. Siostry odprowadzały z chorymi modły. Służba w budynku kuchennym czekała na kolację. Doremnie siłała się Irena rozpoznać rysy mężczyzny, czyhajac na chwilę, gdy wejdzie w krąg światła latarni. Przemknął koło niej

szybko, z twarzą odwróconą w stronę ciemności, jak gdyby miał ogromną wprawę w unikaniu wzroku ludzkiego. Był coraz bliżej, a jednak, prócz ogólnych konturów wysokiej i szczupłej postaci, nie zdołała rozpoznać żadnej cechy indywidualnej tego tajemniczego osobnika.

W momencie, gdy tuż prawie pod balkonem miał skręcać na ścieżkę, wiodącą do kuchennych schodów, z za węgła pawilonu wynurzyła się postać druga, chuda, pochylona i długim szpitalnym szlafrokiem od stóp do szyi okryta. Zaczęli się widocznie porozumiewać ze sobą, ale szept był tak cichy, że raczej domyślać się go, niż dosłyszeć było można.

Irenie nagle błysnęła myśl, która zatamowała oddech i przyspieszyła bicie serca. Cała stała się wzrokiem i słuchem. Może to — ratunek!

Teraz całą uwagę skupiła na drugim mężczyźnie — tym chorym w ciemnym szlafroku.

— On, czy nie on? Nie, nie, to niemożliwe — pomyślała. — Przecież dziś dopiero

miał podnieść się po raz pierwszy po owych ciężkich ranach.

Tak mówił jej doktor Szczygłowski, gdy go na chwilę na schodach zatrzymała, by, jak zwykle, o stan nieszczęśliwego zapytać. Nie mógłby z domu wyjść o własnych siłach, tem mniej ukradkiem. Ten chory porusza się swobodnie, jak człowiek w pełni władz fizycznych. Ale młodość chwytła wszelki cień otuchy radośnie, zawsze skłonniesza do nadziei, niż obaw.

— Może jaki towarzysz, życzliwy pośrednik; może jabyim im w czem pomódz i ułatwić mogła? — myślała dalej i już, już miała ochotę nachylić się lepiej i cichym szeptem sygnalizować swą obecność, gdy naraz oprzytomniała.

— Gdzież mnie wyobraźnia unosi?! Do-
tąd ani jednego, ani drugiego nie znam.
Skąd ta ufność do dwóch zamglonych cie-
niów, unikających ludzkiego ucha i wzroku?
Kto wie, jakie ten lub ów chory może mieć
interesy, wymagające tajnego porozumiewa-
nia się ze światem? Są tu przecież pacyenci
najróżnorodniejszych kategorii, dobierani

jedynie wedle rodzaju choroby lub kalectwa,
nożowcy, złodzieje, sutenerzy — równie do-
brze, jak niewinne ofiary wypadków przy
pracy — lub samej pracy.

Na wspomnienie o wielce mieszanej pod
każdym względem ludności szpitala, odru-
chowu Irena cofnęła się w tył. Teraz ona
złękła się, czy jej nie dostrzeżono i nie pod-
glądano. I ona przecież miała w tem inte-
res, by nie być zbyt dobrze i zbyt często
widzianą.

Właśnie też ukończono pacierze, Stasia
i Kasia roznosiły wieczorny klejek chorym,
leżącym na sali, a rekonwalescentki, i te,
które jeszcze nie były operowane, zasiadały
przy stole w jadalni. Gruba kolejarzowa, już
zupełnie zaaklimatyzowana, perorowała tu-
balnym głosem, usiłując olśnić swe audy-
toryum.

— Co to taki szpital! — mówiła wzgar-
dliwie. — Już ja powiadam, że gdybym je-
szcze raz miała operację przechodzić, to nie
pojechałabym nigdzie, tylko do Londynu.
Tam to są doktory, co coś umieją.

— Jezus, Marya! — zadziwiła się Ka-

sia. — Jeszcze raz! Mało pani będzie trzech operacyi!

Efekt wogóle spalił na panewce, bo prawie żadna z obecnych nie wiedziała, gdzie to ten jakiś Londyn, oraz czy jest mniejszy, czy większy od Warszawy.

— No i cóż tam robią w tym Londynie? — zagadnęła trochę drwiąco Stefka, bardzo nieszczęśliwa dzisiaj, bo siostra Małgorzata za nic na świecie nie chciała jej dać ulubionej herbaty, lecz zmuszała do picia mleka, o którym Stefka nie bez pewnej racyi twierdziła, że ma jakiś dziwny odór.

— Cuda robią! moja pani — nie to, co tutaj. Mówiła mi jedna pasażerka, z którą z Aleksandrowa jechałam.

— No, a czemu to pani teraz zaraz do tego Londynie nie jechała? — złośliwie zagadnęła Szurkowa.

— Czemu? Bo tu kolej za mnie płaci. Ja mogę chorować choć trzy, cztery miesiące — i grosza nie wydam.

Oczywiście, była to ważna racya, jako że kolej wiedeńska do Londynu nie sięga

i cudowni lekarze tamtejsi żądaliby może zbył słonej sumy.

Ukazanie się Ireny we drzwiach od balkonu wywołało małą przerwę w rozmowie. Wszystkie oczy przez chwilę na niej spoczęły. Lubiono na nią patrzeć. Nie była piękną, o, nie, zwłaszcza teraz, gdy tak, jak wszystkie chore, odzianą była szkaradnym, luźnym jak worek, modrym szlafrokiem szpitalnym, w którym nawet jej smukłe, młode kształty niknęły, jak posąg pod zasłaniającym go pokrowcem. Miała jednak w swych subtelnych rysach, w spojrzeniu dobrych, czarnych oczu, w ruchach — dziwną, niemal śpiewną harmonię, niepospolicie uduchowiony czar istoty młodej, żyjącej życiem pełniejszym, bogatszym, niż owe wszystkie niedobitki ludzkie, zapelniające cały pawilon. Może urok jej bladej, delikatnej twarzy spoczywał w tym cichym dramacie, który nieczytelnemi dla pospolitego oka głoskami wyrzeźbił na niej przedwcześnie ślady przejść życiowych, serdecznego bólu, wzruszeń namiętnych, a odział ją jakąś męczeńską słodyczą i powagą.

Była to jeszcze wiosna, ale wiosna burzliwa, deszczem rozplakana, rzadkimi uśmiechami słońca przez mgły prześwietlona — wiosna bardzo, o! bardzo do smętnej jesieni podobna.

Mrużąc oczy przed nagłym blaskiem lamp elektrycznych, Irena oglądała się po sali, by odszukać zakonnicę.

— Siostró Małgorzato! — zagadnęła ją, podchodząc bliżej. — Chciałabym dostać klucz od pokoju lekarskiego na dole. Mam telefonować do doktora.

Siostra Małgorzata podniosła na nią piękne, chabrowe oczy i odparła z lekkim wahaniem w głosie:

— Nie wiem; nie mam klucza; to od siostry Kasyldy zależy. Może pozwoli; niech ją pani prosi.

Faktem było, że młodziutka, niedawna nowicyatka, siostra Małgorzata, gięła się przed autorytetem siostry Kasyldy, bardzo dostojnej, bardzo wszechwładnej, po królewsku despotycznej, a po babsku upartej.

Był to chodzący regulamin, zasada nie bez wyjątków, tekst prawa, uzupełniony ko-

mentarzami bądź czysto indywidualnymi, bądź też wynikającymi z nieuchronnych ze świecką władzą lekarzy kompromisów.

W granicach swej jurysdykcji Kasylda świadczyła łaski tym, co się ich okazywali godni, nieubłagane strzegąc litery prawa wobec nieuprzywilejowanych. Niechętnie czyniła ustępstwa na rzecz równych praw władzy lekarskiej, która znowuż na całkiem innych zasadach dopuszczała swoje wyjątki.

Kwestya telefonu była dla niej szczególnie drażliwą, dawała bowiem pole do nadużyć. Znajdował się on w gabinecie lekarskim na parterze, zajętym przez sale i pokoje dla chorych mężczyzn.

Z jej etycznego punktu widzenia było rzeczą niedopuszczalną, aby chore wogóle do tego oddziału schodziły. Mniejsza o to, że w dniu przyjęć całe chmary krewnych z miasta, bez różnicy płci, odwiedzały zarówno pacjentów, jak i pacjentki. Ponieważ to było nieuniknione, z tem się godziła. Osoby z zewnątrz nie podlegały zresztą regule, ale chorzy stanowili w jej oczach część personelu szpitalnego, *ergo* podlegali jej bez-

pośredniej moralnej kontroli i zwierzchnictwu, tak samo jak służba szpitalna, która — choć żadnymi ślubami niezwiązana — do posłuszeństwa jednak zmuszona była, a w gruncie rzeczy i na ubóstwo, choć nie dobrowolne, lecz zwykle dożywotnie skazana.

Telefon w jej oczach winien był służyć wyłącznie doktorom i to do spraw ściśle z ich powołaniem związanych. Wszelkie wyjątki od tej zasady były wykroczeniem, a czasem i skandalem, gdy taki n. p. posługacz Józek ośmielał się przez telefon przekomarzać i rzechotać z jakąś tam panną Sabcią z Nadświdrzańskiej mleczarni.

Nie było jej tajem, że Irena używała telefonu do bardzo świeckich i wcale nie lekarskich celów, nawet wtedy, gdy się nim na wyraźne życzenie ordynatora Dłutowskiego posługiwała. Jednakże to wyraźne życzenie zupełnie przecinało kwestyę. Siostra Kasylda starannie unikała jawnego przeciwstawiania się woli Dłutowskiego, wiedziała bowiem, że w ostrem starciu tych dwóch wszechwładnych w pawilonie despotyzmów — jej despotyzm musiałby

ustąpić, a na myśl takiej porażki zżymała się jej ewangeliczna pokora. Woląa tedy wobec tego szorstkiego, surowego, lecz z gruntu zacnego człowieka, chwycić się subtelnych, specyficznie kobiecych sposobów postawienia na swoim w rzeczach głównych, w drobniejszych zaś dla świętej zgody i spokoju spełniać jego wolę.

Wielce niechętnie wręczyła Irenie pęk kluczy, czyniąc ze swej strony najróżniejsze zastrzeżenia: Józkowi do rąk ich nie dawać, szafkę od telefonu natychmiast po rozmowie zamknąć, zarówno jak drzwi do gabinetu; rozmawiać nie głośno, żeby się ciężko chorzy nie budzili, a następnie klucze przynieść na górę i »nocnej Jadzi« dla oddania siostrze wręczyć.

Zanim jednak skończyła tę przemowę, już ubrana do wyjścia w swą czarną, grubą, zakonną chustkę otulona, gdy zaalarmowały ją dwie posługaczki — Kasia i Stasia — zawiadamiając, że chora przy ołtarzyku lada chwila ducha wyzionie.

Nie było czasu do stracenia. Siostra Kasylda zrzuciła chustkę na poręcz pierwszego

z brzegu łóżka i do chorej, owej cichej, gasnącej dziewczyny pospieszyła.

Usłużna Stasia czempredzej u lampki przed ołtarzykiem zapaliła gromnicę i do rąk umierającej wcisnęła, przytrzymując ją oburącz, aby konająca w śmiertelnych skurczach nie upuściła snąc zapalonej na kołdrę. Obie siostry uklęły, za niemi wszystkie chore, o ile się na nogach trzymały, nawet te słabsze, które już się kładły spać, wezwano, by wyszły z łóżek i wzięły udział w żałobnych obrządkach.

Nigdy łóżko biednego dziewczęcia nie było tak otoczone, nigdy tyle oczu naraz nie spoczywało na jej wychudzonej, skostniałej twarzy. To była chwila solenna, ostatnia, której ona była nareszcie bohaterką. Zdawała się jednak nie odczuwać tego wcale; na wpół odemknięte jej usta z trudem chwytaly powietrze; oczy mętne, nieruchome, zapadały w głąb czaszki. Chwiejny płomień gromnicy, rzucając na jej trupią maskę migotliwe światelka, nadawał jej jakieś pozory ruchu i życia.

Siostra Kasylda powolnym, namaszczo-

nym głosem odmawiała litanie za konających, wtórowała jej siostra Małgorzata, chore i służy.

Białe kornety zakonnic po obu stronach śmiertelnego łóża chwiały się, jak rozpięte żagle nad barką, która w wieczność odpłynąć miała. »Zmiłuj się nad nimi!«, »Wybaw ich Panie!« — jęczał chór głosów drżących, załęknionych widmem śmierci, zamacony tylko coraz głośniejszem rzężeniem konającej.

Irena, przez chwilę stojąc w progu sali, patrzała na tę grupę, ale usunęła się szybko, nie chcąc ani obłudnie brać udziału w obrządkach, ani też swą obecnością milcząco przeciw nim protestować.

Weszła do swego pokoiku w przeciwnym końcu korytarza. Tam właśnie instalowała się teraz obok niej pani Mandelbaumowa, uzyskawszy łaskawe pozwolenie siostry Kasyldy na tę przeprowadzkę, uszczęśliwiona, że ją zwolniono od uciążliwego sąsiedztwa rakowatej.

Mówiąc nawiasem, zakonnica skwapliwie skorzystała z okazji, by wolne łóżko obok

Ireny oddać żydówce, a nie być zmuszona zaryzykować jakiejś prawdziwie chrześcijańskiej duszy na zarażenie się jej niedowiarstwem.

— Moja dobra pani — stękała Mandelbaumowa — ja pani tu wcale przeszkadzać nie będę. Ja się zaraz położę, tyle nocy nie spałam.

— Nic nie szkodzi — odparła Irena. — To łóżko było zawsze przez kogoś zajęte; najczęściej przez bardzo ciężko chore.

— Ciężko chore? To może tu kto umarł przedemną?

— Może, pewnie, ale nie przy mnie — pocieszyła ją Irena, widząc jej zaleknienie. — W szpitalu, proszę pani, pewno już na każdym łóżku kiedyś nieboszczyk leżał, a przecież się o tem zapomina tak samo, jak o tych, którzy czasem o ścianę, o piętro niżej lub piętro wyżej pasują się ze śmiercią, gdy my sobie gwarzymy wesoło z gośćmi przy herbacie. A kiedy już o herbacie mowa, czy można panią poczęstować?

Irena po drodze przyniosła sobie z kuchenki imbryk z gorącą wodą i naparzała herbatę. Miała swoje małe gospodarstwo

podręczne, niechętnie bowiem kosztowała strawy szpitalnej w szpitalnych naczyniach. Prowadziła swój własny tryb życia, od ogólnie obowiązującego niezależny, obsługując się sama, a często obsługując i drugih.

Pani Mandelbaum chętnie przyjęła zaproszenie; »czuła się bardzo pochlebiona«, jak mówiła; że zaś sama, jako osoba delikatna, również szpitalnego jedzenia unikała, a przez czulego męża obficie przysmakami obdarzana była, odwzajemniła się, zaraz częstując Irenę tabliczką czekolady i pomarańczami malinowemi.

— Niech pani je, to zdrowe, czekolada wedlowska, pierwszy sort, a pomarańcze od Wróbla. Ja tego nie zjem; tyle tego mam! To się tylko zepsuje. Nie wiem, co z tem zrobić. Kasi daję, Stasi daję, Szurkowej daję!

W tej chwili właśnie, jak gdyby czując przyjazną konjunkturę, wsunęła się do pokoiku Szurkowa. I ona czuła się nie swojo przy owych przedśmiertnych katolickich obrzędach. Ciekawość dawno zaspokoila, widziała to tyle razy!

— Co to przyjemnego na takie rzeczy patrzeć! — mówiła. — Na co mi się to przyda?

Irena rozmyślnie zamilczała przed Mandelbaumową o konaniu dziewczęcia. Była pewna, że zacznie się bać, że to jej znowu sen odbierze i nerwy rozstroi. Ale ku swemu wielkiemu zdziwieniu przekonała się, że ta delikatna osoba dość dziwnie reaguje na tę sprawę. Boi się, bardzo się boi, lecz koniecznie musi zobaczyć, jak to się odbywa; chociaż przez oszklone drzwi do wielkiej sali spojrzeć.

Zwlekła się z łóżka, na którym się wygodnie była rozłożyła i opierając się o ramię usłużnej Szurkowej, która przy tej okazji istotnie zarobiła malinową pomarańczę, zwolna i stękając, potoczyła się przez oświetlony korytarz ku wielkim drzwiom oszklonym, za którymi potrójnym rzędem, jak białe sarkofagi w podziemnej kaplicy, stały łóżka chorych.

Słabe, przyćmione światło jednej już tylko lampki elektrycznej u sufitu zaledwie pozwalało rozeznaczyć, które łóżka puste chwilowo,

a na których, owinięte bandażami jak mumie, leżały świeżo operowane.

Pod prawą ścianą, w miejscu, gdzie się rząd łóżek przerywał, oświetlona kościelną lampką błyszczała figurka Matki Boskiej, umajona zielenią, przybrana kwiatami, bardzo strojna i wyświeżona, jak gdyby wśród tej rzeszy kobiet, schorowanych, zaniedbanych, okaleczających, jej jednej wolno się było podobać i oczy ludzkie ciągnąć.

Siostra Kasylda, klęcząc u stóp ołtarzyka, czytała psalmy, a chore to na kolanach, to skurczone i na ziemi przykucnięte, to znów ślaniające się i wsparte o poręcz łóżek, powtarzały jej słowa głosami, które łamały się, gubiły, rozpieczęły lub zdławione głucho milkły w ściśniętem gardle. Jedna tylko kolejarzowa grzmiała donośnym altem, aż siostra Małgorzata parę razy odwrócić się musiała i wymownie chabrowymi oczami dać jej znak, że ze względu na cięższe chore głos przyciszać należy.

Bynajmniej jednak nie ze względu na konającą; ta, wedle rozumienia siostr, jednego tylko potrzebowała w momencie wyzwalania

duszy z więzów ciała: oto, by duszę tę ubrać w jak największy blask świętości w drogę na sąd boski. Czem ta dusza była za życia? Co kochała, czego nienawidziła? Nad czem cierpiała, za czem tęskniła, co ją dźwigało w górę lub ciskało w trzęsawisko — żadna nie wiedziała i nie zastanawiała się nawet. Było oczywistą rzeczą dla nich, że każda modlitwa, każdy pobożny obrządek, jako czynnik nadprzyrodzony, może działać cuda, duszę oczyszczać, przeświećlać, wyanielać — nawet w tym momencie, gdy ona biedna, gorączką lub stopniowym rozkładem mózgu w nieświadomości pogrążona, zaledwie w wycieńczonym ciele kurczowe odruchy wywołać jest w stanie.

Zanim modlitwy ucichły, ustało rżenie w piersi chorej. Jedno mocniejsze tchnienie, ostatnie — rysy stężały, zielonawe smugi zarysowały się na jej woskowo-bladej masce, a cienka skóra tak szczelnie przywarła do kości, że przez nią zęby w szczękach przeświecać się zdawały.

Siostra Kasylda podniosła się, zdmuch-

nęła i odłożyła gromnicę, ujęła w długie, białe ręce głowę zmarłej i delikatnym macierzyńskim ruchem powieki jej przymknęła. Potem jej wychudzone ręce skrzyżowała na piersi, przeżegnała raz jeszcze trupa, pokropiła święconą wodą i białym prześcieradłem nakryła. W geście tym, obok uroczystego przejścia się powagą urzędowej czynności, malowało się głębokie zadowolenie z dobrze spełnionego obowiązku i cichy tryumf obejmowania w posiadanie wyłączne i bezsporne istoty, wydartej już temu światu, i szczęśliwie przeniesionej do tamtego, lepszego, którego furtę zakonnica tak często już grzesznikom otwierała, że czuła się jego oficjalną tu na ziemi reprezentantką. Było to jak gdyby zatknięcie sztandaru niebieskiego imperyum na podbiegunowym lodowcu, w krańcie martwej ciszy i nieprzerwanego mroku.

Teraz trzeba było jednak powetować opóźnienie, spowodowane tą ważną czynnością, aby nie zaniedbać innych, przedewszystkiem zaś wspólnych pacierzy wieczornych z całem zgromadzeniem sióstr, to jest starań około własnej duszy, gdy się tak szczę-

śliwie cudzą, do wiecznego ukołysało spoczynku.

Obie zakonnice spieszyły się bardzo.

— Jadziu, nie dzwoń na grabarzy; ja sama powiem po drodze — rzuciła Kasylda nocnej posługaczce, przechodząc szybko koło niej i, nie odwracając oczu, zbiegła lekko po schodach wraz z siostrą Małgorzatą.

Długo na ten moment czekała Irena. Stała w korytarzu i nadśluchiwała póty, póki drzwi wchodowe nie zamknęły się za niemi.

Teraz odetchnęła. Wpadła do swego pokoju, pochwyciła pęk kluczy, zarzuciła szal na ramiona i zbiegła po schodach w ślad za niemi.

Na dole jednak zawróciła na przeciwną stronę, do wewnętrznego korytarza, który miał po obu stronach drzwi do ambulatoryum, pracowni roentgenowskiej, gabinetu lekarskiego i pokoiów chorych, a kończył się oszklonem wejściem do ogólnej sali, teraz już tonącej w półmroku, przy stłumionem świetle jednej jedynej lampki.

Zanim weszła do gabinetu, nieznacznie

zapuściła wzrok do sali i lekko przesunęła po nawpół odemkniętych drzwiach od sąsiedniego pokoiku. Ręce jej drżały przy otwieraniu zamka, a może umyślnie tak wolno i niezgrabnie kluczem manewrowała, żeby jakiś dźwięk uchem przychwycić.

W sali było zawsze trochę ruchu, a nawet i gwaru, bo młodzi posługacze przekomarzali się i dowcipkowali z tymi pośród chorych, którym się jeszcze spać nie chciało, a ani instynkt subordynacji, ani wzgląd na cierpiących bliźnich nie były u nich tak silne, by stłumić chęć wyzyskania nieobecności zakonnic dla pofolgowania hałaśliwej wesołości.

Jeden z nich, ów niesforny Józiek, spostrzegłszy Irenę, przybiegł z uprzejmością nie całkiem bezinteresowną, aby jej usłużyć. Drzwi otworzył, do gabinetu wpuścił, elektryczność zapalił, a gdy się zbliżała do telefonu, dyskretnie na korytarz się usunął i drzwi za sobą zamknął.

— 63—60. Mieszkanie dra Dłutowskiego?

— Czy jest pan Broński?

— Irena S. Czy są dla mnie jakie wiadomości?

— Tak?! Bardzo złe? Wolałabym zaraz wiedzieć.

— Nie można?

— Rozumiem. Czekam z gorączkową niecierpliwością owego jutra.

— Może zasnę, ale pan mnie bardzo zaniepokoił. Czy o niego, czy o mnie chodzi?

— O niego więcej?

— Ja zawsze jestem ostrożna, a boję się tylko czasem. Ale teraz... Pan wie, że zdrowszy? Wstał dzisiaj.

— Nie; chciałabym. Może się uda. Pozdrowię go od Pana; a może jeszcze co powiedzieć?

— Będzie Pan u niego? A kiedy? Dobrze. Zatem Bronka niech się nie spóźnia; proszę jej to powiedzieć odemnie. Do widzenia!

Położyła słuchawkę i oparła się o ścianę, bo nogi pod nią się chwiały.

— Złe wiadomości!! Przeżyj tu teraz tę długą, długą noc, gubiąc się w przewidywaniach ciosu, jaki na ciebie spadnie!

Dreszcz ją wstrząsnął i machinalnie szczerzej otuliła się swoim szalem. W zamyśleniu nie słyszała, jak doktor Szczygłowski wszedł do gabinetu, nie zauważyła go, gdy, zdjawszy surdut, swój biały fartuch przywdziewał. Gdy go dostrzegła, drgnęła znowu, ale oprzytomniała z zamyślenia, z błyskiem nagłego postanowienia zbliżyła się do niego, a podając mu rękę, półgłosem rzekła:

— Czy możnaby teraz na chwileczkę? Ja tu właściwie z tym zamiarem przyszedłem. Pan ułatwi — prawda?

— Zobaczę — rzekł krótko, wyszedł i zaraz wrócił:

— Proszę, można; tylko niedługo, nie powinien się męczyć rozmową.

— Czy jest tam kto drugi?

— Jest, ale dobrze śpi — po chloroformie. Znam go; to dawny pacjent, nie obudzi się, choćby bombardowano Warszawę.

Otworzył drzwi do pokoiku i cofnął się. Irena stanęła w progu.

W pokoju stały dwa łóżka. Jedno pograżone było w cieniu, przy drugim, na

nocnym stolicku, stała elektryczna lampa z blaszonym, zielonym daszkiem i rzucała żywe światło na białe poduszki i spoczywającą na nich głowę mężczyzny. Głowę tę otaczały białe bandaże, grubym zawojem zakrywając niemal całe czoło, a twarz o rysach wytwornych, lecz ostrych, tembardziej przy ich białości wydawała się szarą i zwiędłą. Była to jednak widocznie twarz młoda, tylko strasznie życiem i ciężką chorobą zniszczona, zorana, zmięta, twarz wymowna i tragiczna, o stalowych oczach, głęboko pod krzaczastemi brwiami utkwionych, spoglądających jak gdyby z bezmiernej głębi w bezkresną dal.

W chwili jednak, gdy spojrzały na Irenę, oczy te rozbłysnęły radosnem wzruszeniem.

— Iro! Iro! — zawołał półszeptem, ręce obie wyciągnął i głowę z wysiłkiem od poduszki unosił. — To ty! nie wiedziałem, że przyjdiesz! Tak dawno, tak dawno nie widziałem ciebie!

Pochwycił obie jej ręce, jak gdyby chciał ją przytrzymać, ażeby nie rozwiała mu się w oczach, jak gorączkowa wizya.

— Widziałem cię, prawda, widziałem nieraz w moich majaczeniach nieprzytomnych, ale zawsze taką zmienioną, taką inną, i zawsze ginęłaś mi — w jakiejś ponurej nocy.

— I ja cię także widywałam — ale nie we śnie.

— Taak?

— Przychodziłam kilka razy, kiedy byłeś nieprzytomny, zdaleka spojrzeć na ciebie. Codzień miałam o tobie najdokładniejsze wiadomości — a myślą byłam zawsze przy tobie. Może dlatego śniłam ci się.

Umilkli i rozmawiali wzrokiem. Opowiadali sobie długie godziny tęsknoty, bólu, niepokoju — czarnych przeczuć i piekielnych buntów przeciw losowi, który ich rozdzielił.

— Nie bałaś się przychodzić? — zapytał wreszcie.

Ochłonął z pierwszego uniesienia i już oryentować się zaczynał w otaczającej ich rzeczywistości.

Irena, jak gdyby się ze snu zbudziła, przetała oczy i spojrzała znowu wzrokiem pytającym, głęboko w jego źrenicę sięgając.

— Bać się miałam? O kogo? o ciebie? o siebie? Kto z nas komu szkodzić może?

— Ja tobie, a ty mnie — odparł poważnie i smutno. — Choć mnie chyba nic już nie zaszkodzi — dodał. — W rzadkich chwilach przytomności, gdy wogóle myśleć mogłem, myślałem, że umrę, i że to będzie najlepiej. Gdybym wiedział, że minione chwile wrócą, miniona wiara, siły, że ja coś jeszcze zrobię, czegoś dokonam...

— Siły wracają — przerwała Irena — doktor mówił, że zdumiewająco szybko przychodzisz do zdrowia, że jesteś na najlepszej drodze.

— Do czego? — rzucił gorzko.

Zamilkli oboje, a po twarzy Ireny przebiegł skurcz bolesny.

Równocześnie ona zapanowała nad tym odruchem, a on pożałował słów, któremi zasępił tę rzadką, a tak upragnioną chwilę.

— Tak, Iruś droga, będę zdrów i może nawet żyć będę. Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze!

— No, no, nie takie znowu dziecko — żartowała, chcąc go nawzajem rozweselić —

z hydrą mocował się pan Jerzy, gdy był dobrze pod wąsem.

— I to wtedy jeszcze głowy jej nie urwał.

— Bo też one naprawdę wciąż odra-
stają.

— Przytem o mało własnej nie stracił.

— To »mało« decyduje o wszystkim. Życie jest możliwością wszystkiego, nieskończonym szeregiem możliwości, a z nich urzeczywistniają się przecież najprędzej te, które ściga natężona, wytrwała wola.

— Chcesz być silnym — będziesz silnym, chcesz być mądrym — będziesz mądrym, chcesz być bogatym — będziesz bogatym — mówi James. — Chcesz żyć, będziesz — żył; tak, z drobnymi zastrzeżeniami doktor Szczygłowski uzupełnia James'a.

— Chcesz żyć za wszelką cenę? — Nie!!!

— Ach! nie — nie!

Irena wzdrygnęła się i twarz obu rękami zakryła.

Teraz on już nic nie mówił, tylko patrzył na nią w głębokim zamyśleniu.

— Która z tych dwóch okropności bardziej ją przeraża? — pytał w duszy.

Irenę zaś lodem zmroziła świadomość, że on pomyślał i o tej drugiej także.

W tej chwili oboje jakby nagle oddalili się od siebie. Uczuli, że jednak każdy człowiek jest człowiekiem osobnym, każdy ma swój krąg dla wszystkich zamknięty, w którym mocuje się sam ze swymi najgłębszymi, poświadomymi instynktami.

Milczeli, a kradzione chwile mknęły błyskawicznie.

— Jerzy — zaczęła Irena — rozmawiałam teraz z Brońskim. Kazał cię pozdrowić i zapowiedział, że cię odwiedzi. Jutro będzie u mnie Bronka; będzie naturalnie i u ciebie.

— Niech ona jednak tak robi, żeby nie poznano, iż od ciebie bezpośrednio do mnie idzie. Jutro będzie taka chmara ludzi, a wtedy — ty wiesz! Chociaż i tak... Ja nikomu nie wierzę. Tego tylko się nie strzegę, bo się jeszcze z chloroformu nie rozbudził należycie — i wskazał na sąsiada.

— Dobrze; powiem jej, żeby do ciebie

nie chodziła tym razem. U ciebie będzie przecież pewno bliższa rodzina. Do mnie jutro koniecznie przyjść musi. A teraz muszę cię pożegnać, Jurku. Lada chwila pewno siostry powrócą.

— A tak; przyjdzie pocziwa siostra Małgorzata z kropidłem. Ale anioł święconej wody bać się nie powinien. Co innego ja.

— Moje anielstwo nie jest z tego tutaj świata. Tu zakonnice są aniołami bez konkurencyi. Nie święconej wody, ale ich samych boją się wszyscy, nie wyłączając doktorów. Nawet Dłutowski ze swą miną władcy woli siostrze Kasyldzie schodzić z drogi, niż jej się sprzeciwiać.

— Lew przed panną ucieka.

— I ja już uciec muszę. Dobranoc!

Rozstali się pośpiesznie, ze śmiechem na ustach, jak gdyby za kilka godzin zobaczyć się mieli znowu.

Irena wymknęła się na korytarz. Zbliżając się do drzwi gabinetu lekarskiego, usłyszała urywek głośnej rozmowy:

— Panna Sabcia myśli, że ja nie widzę? Aha! Panny oczki to tak świecą, że

i w telefonie jasno się robi. Widzę, a jakże! Czerwone koraliki na szyi, a ząbki to tak panna szczerzy do gości, że aż wstyd!

— Woła: »płacić!« Niech panna Sabcia powie, żeby czekał, to ja przyjdę, a jak ja frajerowi zapłacę, to będzie rachunek kwitowany!

Urwis Józek znowu dorwał się do telefonu i z Sabcią flirtował.

Trudno, trzeba to było przerwać.

— Panie Józefie, wracam i muszę siostrze klucze oddać.

— Dobranoc, panno Sabciu, a jutro u Wszystkich Świętych! Proszę pamiętać!

Zamknął telefon i oddał klucze.

— Schadzka w kruchcie kościelnej, jak w hiszpańskich romansach — zauważyła Irena w myśli, ale skoro zwróciła się ku wyjściu, zapomniała o wszystkim.

Uczuła nagle jak gdyby okropną pustkę wkoło siebie. Wszystko mija; i ta chwila upragniona minęła także. Teraz trzeba wrócić, położyć się, zasnąć, i — jeśli można — w każdym razie trwać.

Po co? Na co? Nie była teraz już ani smutna, ani niespokojna, tylko zu-

pełnie wyczerpana i znieczulona. Musiała dostrzedz jednak, że w momencie, gdy na piętro wchodzić miała, we drzwiach wchodowych na dole, w cieniu schodów, stała jakaś wysoka figura, otulona w szlafrok szpitalny.

— Ten sam, ten sam, który stał dziś pod balkonem — pomyślała nagle.

Była tego pewna, choć nie rozpoznała go, lecz przeczuła. Teraz widziała go lepiej: ryża głowa, twarz ohydna, choć nie-szpetna, jedna z tych, które w niej zawsze instynktowne budziły obrzydzenie. Są takie twarze, jak brudne śmiecie, jak zwalany łachman. Wzrok wzdryga się je dotknąć, tak jak ręce brudu dotknąć się brzydzą.

Przyspieszyła kroku, aby ją czempredziej przestać widzieć i zniknąć jej z przed oczu.

Na szczęście Mandelbaumowa już spała.

Irena rzuciła się wznak na łóżko, ręce splotła nad głową i leżała tak długo z otwartymi oczami, wlepionymi w płonącą na korytarzu lampkę.

Ogarnął ją zupełny bezwład, odrętwienie, jak gdyby prąd myśli stęzał nagle, niby lodem ściana rzeka. Trwało w niej tylko ja-

kieś głuche, półświadome poczucie, że jej źle, że wszystkim źle na świecie, że pogrąża się coraz, coraz głębiej w jakiejś ciemnej toni, która wszystko pochłania. Dziś gorsze jest, niż wczoraj — a jutro będzie jeszcze straszniejsze.

Nie słyszała, jak zakonnice szły przez korytarz i odbierały raport posługaczki, tak zwanej »nocnej Jadzi«, gdyż co noc przy chorych dyżurowała.

— Przychodził pan doktor Szczygłowski — opowiadała — bo widział, że z tą dziewczyną bardzo źle, ale myślał, że jeszcze żyje. Bardzo się zmartwił.

Po chwili dodała:

— Cemu też to te doktory — dobrodziuniu — tacy zawsze źli, jak im chory umrze? Przecie o tej to już wiedzieli, że jej się niewiele należało!

Pytała zaciekawiona, pewna, że wszechwiedząca zakonnica objaśni jej tę tajemnicę psychiki zawodowej.

W odpowiedzi wyręczyła siostrę Kasyldę szwaczka Stefka, wtrącając tonem głębokiego przekonania:

— Pewnie, że są źli; rozumie się. Każdy jest zły, jak mu się robota nie szykuje.

— A ty czemu spać nie idziesz? — surowo zainterpelowała Stefkę zakonnica.

— Ja się boję! Nie pójde, aż tę nieboszczkę wyniosą. Ja nie zwyczajna spać przy trupie.

— Trzeba się Matce Boskiej polecić, to wszystkie lęki rozproszy — nauczała Kasylda. — Trzeba Bogu dziękować, że nam śmierć przed oczy stawia, abyśmy na nią zawsze gotowi byli i o duszy pamiętali. Niech chora idzie spać! A czemuż to grabarze nie przyszli? Dzwoniłaś do kancelaryi?

— Nie; dobrodziunia nie kazała, miała sama...

Kasylda nie dała jej skończyć:

— To idź i zadzwoń zaraz!

Jadzia uszczęśliwiona pobiegła. I ona czekała niecierpliwie, by jej trupa usunięto z przed oczu, a jeśli dotąd nie robiła o to gwałtu, to tylko przez obawę sprzeciwienia się »dobrodziuni«.

Po drodze wpadła do Ireny po klucze

od telefonu, a choć się bardzo spieszyła, rzuciła jej szeptem pytanie:

— Czy dziś mogę przyjść? Pewno nie, bo pani śpiąca.

— Przyjdź, owszem — prawie machinalnie odpowiedziała Irena i znowu zapadła w odrętwienie.

Zakonnice krążyły jeszcze przez chwilę po sali, zajrzały do tej i owej z obandażowanych mumii, zapędzwały do łóżek te chore, które jeszcze spać się nie kładły — z tego samego zresztą, co Stefka, powodu, i bardzo budujących udzielały im nauk:

— Śmierci się nie bać, śmierci pragnąć należy. Ta nieboszczka szczęśliwsza, niż my; już nie grzeszy, już na boskim sądzie z win oczyszczona stanęła, a aniołowie Pańscy dla niej mieszkanie w niebie szykują. Proście Boga o taką śmierć i takie przykładne, świątobliwe konanie.

Cicha dziewczyna naraz pasowana została na jakiś symbol doskonałości, wzór do naśladowania — coś, czem może nigdy za życia nie była, a czem teraz uczyniono ją tylko dlatego, że nie żyje, za to, że

umarła — a więc dokonała aktu, który w światopoglądzie siostry Kasyldy stanowi jedyny cel życia człowieka na ziemi. Wszakże życie doczesne jest tylko wstępem do życia wiecznego — jakoby nowicyatem ciężkim przed najwyższymi święceniami; stąd też każdy nieboszczyk w hierarchii stworzeń bożych zajmuje wyższą rangę, niż każdy żyjący, a więc jeszcze i grzeszący śmiertelnik.

Daremnie jednak siostra Kasylda usiłowała tę ideę zaszcześcić w młodszych i zdrowszych pacjentkach pawilonu. Dla najcięższych schorowanych, gdzieby może posłuch znaleźć mogła, inne miała morały.

Oto właśnie zbliża się do takiej nieśczęśliwej; pomieszczono ją jako nieuleczalną w bocznym pokoiku, zajmowanym zwykle przez biedne kaleki, w drodze łaski, choć leczenie ich żadnych nie rokowało nadziei, trzymane w szpitalu jedynie z tego względu, że nie było obawy, aby długo już innym chorym miejsce zajmować miały. Jej olbrzymia po operacji rana nie goiła się wcale; twarz nalana miała bladość trupią,

męczyły ją nieustanne bólesci, czkawka, wymioty, czasami trzęsły ją dreszcze i szczykała zębami, a wydzielala ze siebie taką woń zgnilizny, że gdy ją wieziono na salę opatrunkową, wszystkie drzwi zamykano w korytarzu, aby nie zatruwać powietrza w sali i w pokojach.

Co noc czuwała przy niej najęta pielęgniarka i co noc oczekiwano, że nie dożyje rana. Żyła jednak już blisko dwa tygodnie po operacji, którą odradzali jej doktorzy, sądząc, że jej nie przetrwa. Żądała jej jednak stanowczo; niewiadomo, czy wierzyła, że tym sposobem przedłuży życie, czy że skróci swe cierpienia.

I jedno i drugie zawiodło. Chwilami czuła się trochę lepiej, wtedy była prawie wesola; w gorszych i najgorszych chwilach była spokojna i cicha, jak gdyby nadsluchiwała ze skupieniem, czy śmierć nie idzie.

Teraz jednak poskarżyła się:

— Siostro dobrodziejko, czemu mnie leczycie? Czemu ja tak długo żyję? Śmierć nie straszna, ale ta długa choroba! — na co to!

— Czemu się to pani Ziółkowska dziś niecierpliwi? — z łagodnym uśmiechem odparła siostra Kasylda. — Przyjdzie śmierć, jak Bóg zechce. A choroba jest darem Boga, za który Mu dziękować trzeba. Jabyśmy się bała bez choroby umierać; przez chorobę i cierpienie człowiek się z grzechów oczyszcza.

— Tak siostra mówi? — szepnęła Ziółkowska i zamilkła, ale wargi jej drżały wciąż; może poruszała je cicha modlitwa, może dreszcz konwulsyjny.

W ślad za Kasyldą szła siostra Małgorzata z kropidłem i święconą wodą, kolejno skrapiając wszystkie łóżka i leżące na nich chore.

Jedna zimna kropla spadła na czoło Ireny i zbudziła ją z odrętwienia. Przypomniała jej żartobliwe słowa Jerzego i pożegnalny uśmiech na jego schorowanej twarzy.

Zakonnice odchodziły już; na schodach skrzyżowały się z grabarzami, którzy nieśli długie, otwarte pudło, by w niem wynieść trupa.

Od rana do północy dyżurowali oni przy

kancelaryi, a na odgłos dzwonka szli pełnić swą czynność: usuwać martwe szczątki ludzkie z pobojuwiska, na którem wiedza ludzka toczyła walkę z chorobą i śmiercią.

Dopiero po ich odejściu reszta chorych poszła do łóżek i względna cisza zapanaowała w szpitalu.

Krzątała się tylko jeszcze »nocna Jadzia«: pilno jej było uprzątnąć po zmarłej, łóżko jej zasłać świeżą pościelą i bielizną, ażeby było gotowe na przyjęcie nowej pacjentki, a wśród tego odwoływały ją wciąż chore, różnych domagając się posług.

Załatwiła się wreszcie i, upatrzwszy spokojniejszą chwilę, chyłkiem wślizgnęła się do pokoju Ireny.

— Paniusia nie śpi? — mówiła z grzecznym uśmiechem i naiwnem spojrzeniem swych błękitnych, mrugających oczu. — Jak to dobrze, że ci grabarze przyszli! Tak się bałam, żeby nieboszczka nie leżała do rana. Dobrze też, że wieczorem umarła, a nie nocą, bo po północy to już po trupa nie przyjdą.

Irena podniosła się.

— Dobrze, Jadziu, że przyszłaś! Napisałaś tam co nowego?

— Ojej, ale ja się wstydzę.

— Moja kochana, skąd ci się to na ten wstyd zebrało? Alboż nie codzień poprawiam ci twoje kajety, i czy to wstyd nie umieć pisać, jeżeli się ktoś tego nie uczył?

— A bo ja dziś, paniusiu, nie w kajecie pisałam, tylko co inszego. Bo widzi paniusia — ojciec wie, że ja się pisać uczę, to chciałam taki długi list sama napisać, żeby wiedzieli, jak to ja umiem, i żeby mi paniusia poprawiła, bo tam pewnie dużo myłek, toby się jeszcze ze mnie naśmiali w domu.

— Ej! A może tam oprócz myłek są jakie sekrety w tym liście? Może lepiej, żeby go nie czytała?

Jadzia, zaambarasowana, spuściła oczy, a jej tłusta, czerwona twarz oblała się jeszcze żywszym rumieńcem.

— Ja też chciałam paniusię prosić, że — bo — ja tak tam pisałam, co nie chciałybym, żeby »dobrodziunie« wiedziały.

Irena rozśmiała się:

— Co ci to do głowy przyszło, żeby

ja miała zakonnicom o twoim liście coś mówić?! Cóż ty myślisz, że ja twoje zaufanie zdradzać będę? Wiesz zresztą, że siostry nie bardzo chętnie widzą te nasze lekcye!

— Oj! co nie, to nie! — żywo przerwała Jadzia. — Co te zakonnice mają w tem, że tak nie lubią, jak się kto uczy?

Odpowiedzieć na to pytanie nie było rzeczą łatwą.

W tym razie przyczyną nie mogła być obawa zachwiania się w wierze pod wpływem nauki. Ta wiedza, po którą sięgała chciwie Jadzia, umiejętność rozróżniania wyrazów, pisanych przez *rz* i *ż*, *ó* i *u*, do żadnego konfliktu z katechizmem doprowadzić nie mogła. A jednak zakonnice istotnie wedle sił i możliwości stawiały Jadzi w jej studyach przeszkody i jasnem było, że nie długo zakażą ich zupełnie.

— Czy ja wiem, moja kochana, co im to przeszkadza? Może myślą, że cię to od pracy odrywa.

— Mój Boże! a toż paniusia widzi. Żeby nie pisała, tobym może nieraz zasnęła

na tym fotelu w sali i nie słyszałabym, jak chora woła.

Irena wzięła do ręki list i, czytając półgłosem, poprawiała i objaśniała pomyłki. List był oczywiście pisany »na brudno«.

Nie bez racyi zastrzegła się Jadzia, by o nim nie mówić siostrze; zaczynał się on bardzo pobożnie od sakramentalnego: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!« i długiej litanii pozdrowień i ukłonów dla rodziny blizkiej i dalekiej, aż do czwartego stopnia pokrewieństwa, oraz znajomych i sąsiadów. Ale dalej były takie ustępy:

»Mi jest tu, chwalić Boga, bardzo dobrze, ino jeść to niema co, a jak w wielkim poście — to jeszcze mniej, bo siostry mówią, że umartwiać się trzeba, i że jest drożyzna, to już dla nas na kolacyę nie starczy, to mamy iść spać bez kolacyi, tylko z czystą herbatą. To się zaczęły buntować mężczyźni z dołu i Wojciechowa mówiła, że my z niemi musimy wszystkie, bo żeby byli każdy jeden z drugim razem solidarnie, a jak tak każdy sobie, to lepiej wcale nic. I Kasia też mówiła, że trzeba sztraj-

kować albo co, i Michał mówił, że i tak pracy nie wydała, a jak jeszcze jeść nie dadzą, to wszystko rzuci. Tylko Maciej, co przy doktorach, i Natalka, co jest od narzędzi, to oni do sztrajku nie mają należyć, bo oni osobno jedzą, co za nich doktory płacą. A Stasia, to sama nie wie jak — i mówi, że teraz pewnie się nie uda, bo tak jakoś wszystko ucichło — i nigdzie o niczem nie słyhać, a przed trzema laty, to jak był sztrajk, doktorzy sami chorych nosili na operację. A mnie siostra wzięła na bok i mówiła, żeby się w to nie wdawać, bo to wielki grzech i Pan Bóg za sztrajki karę zsyla i idą ludzie do więzienia, albo jeszcze gorzej, a ja jestem pobożna katoliczka, więc to byłby wstyd. To jak nas zaczęli posługacze z dołu wywoływać, żeby niby wszyscy szli do intendenta i o tę kolację prosili, to ja i Kasia takeśmy się siostry Kasyldy bały, i żeby nas drudzy nie wyśmiali, to my się obie w łazience zamknęły i nikt nas nie znalazł. A Szurkowa, to poszła za drugimi do kancelaryi i potem siostrom powiedziała, co kto mówił,

a mnie to znowu insi mówili, że to wstyd, cośmy z Kasią zrobiły, bo muszą iść wszyscy za jednego, a Józek z dołu to się tylko śmiał, że ja i bez kolacyi tłusta, a jak schudnę, to będzie ładniej. I tak nie wiem teraz, co robić na drugi raz i co robić, jakby był sztrajk. A jedna chora to wyczytała w gazecie, że bez drożyznę to magistrat podniósł dla nas o kilka kopiejek na dzień, żeby my mieli jak dawniej, a tu my mamy mieć gorzej, więc to jakieś musi być szachrajstwo. I bez tego to nasze obiady takie są, że mało co kto je, tylko krowom szpitalnym do koryta wyrzucają i z tego się krowy żywią. Czasem też jaka miłosierna pani, jak się jej co w gospodarstwie zepsuje, albo kapusta w beczce, albo wędzone mięso, albo śledzie, albo jabłka, to do szpitala na ofiarę posyła, chorym tego dać nie wolno, i siostry nie chcą, więc my temi ofiarami żyjemy z łaski tych pobożnych pań. Jakby miał być sztrajk, to ja mówię, żeby już lepiej był przed spowiedzią wielkannocną, to się jeszcze z tego grzechu wyświadamy, a więzienia to ja się nie boję, bo

doktory nikogo nie wydadzą, i ktoby chorych na operacye dźwigał, albo też w nocy za mnie baseny nosił i obsługiwał. Ja myślę, że w nocy, to mnie nikt nie będzie pilnował, czy ja sztrajkuje, czy nie, a mnie chorych żal, a jak dadzą kolacyę, to lepiej, a jak nie, to trudno. Jedna chora to się śmiała, że w jakimś tam miasteczku w szpitalu to raz siostry też sztrajkowały, ale nie wiem, o co. Nasze to nie zasztrajkują, ale też za nas robić nie będą, bo one to się chyba inaczej umartwiają, ale kolacyę jedzą i obiad dobry, nie śmierdzący, i w nocy śpią — i chorych nie dźwigają, bo mówią, że reguła nie pozwala — to nie mają o co sztrajkować, a może i dlatego nie, że to grzech«.

Poświęcenie, zaparcie się siebie! Ileż razy Irena słyszała te słowa, gdy mówiono przy niej o budującej misji sióstr miłosierdzia! Jakże inaczej się rzecz przedstawiała z punktu widzenia tej biednej dziewczyny, spoglądającej na zakonnicę jako na istotę uprzywilejowaną, wzbudzającą szacunek, bez względu na swe osobiste zalety, przez samo

swe stanowisko, przez habit i kornet; na istotę, która — mimo dobrowolnego ubóstwa — była całkowicie zwolniona od trosk materyalnych, nigdy nie mogła zaznać bezrobocia i daremnego poszukiwania pracy, nigdy nędzy, chłodu, głodu, nigdy bezdomnej, sponiewieranej i osamotnionej starości!

Zaiste! wielu cennych rzeczy zrzekają się zakonnice: życia rodzinnego, jego trosk, obowiązków, bólów i radości, wolności osobistej, rozwoju umysłowego, współudziału w życiu społeczeństwa, jego walkach, klęskach i tryumfach — ale czy są to rzeczy, które poświęcać wolno i należy?

Te wszystkie myśli snuły się w głowie Ireny, gdy uważnie wyławiając błędy ortograficzne w liście Jadzi, zaopatrywała go równocześnie w niezbędne znaki przestankowe. Jak najstaranniej korygując formę, nie dotykała jego treści, nie chcąc zrażać zaufania uczeniicy.

To jednak korciło Jadzię, zapytała też wkońcu nieśmiało:

— A jak pani myśli?

— Ja myślę — odparła z uśmiechem Irena — że gdybyście się wszystkie bały siostry Kasyldy, to nie zmieściłybyście się w łazience, zwłaszcza jeżeliby posługacze też się tam schować chcieli.

— Przecież, żeby nikt do intendenta nie szedł, toby się też nikt nie chował — zauważyła rozsądnie Jadzia.

— Naturalnie; mogłaś się schować w łazience, bo inni poszli dla ciebie upominać się o kolację.

W tym drażliwym punkcie urwała się rozmowa, gdyż obie kobiety posłyszały otwieranie drzwi wchodowych, a potem ciężkie kroki kilku mężczyzn, wstępujących na schody.

Jadzia zerwała się raptem i szybko list za fartuch schowała.

— Ojej, pewno wypadkowa chora — szepnęła i pędem pobiegła naprzeciw przybywających.

Powoli poszła za nią i Irena.

Na noszach dźwigali posługacze jakąś bardzo pokaleczoną, ale już przez dyżurnego lekarza opatrzoną pacjentkę.

— Co to? — zapytała Jadzia — czy może operacja będzie?

— Eh! nie! — machnął ręką posługacz — tramwaj ją najechał, ale pono nie tak źle. Wyliże się — jak Bóg da. Albo może i nie! Kto tam wie?! Łóżko wolne jest pono?

— Jest; jest na sali. Proszę za mną.

Na świeżo opróżnionem łóżku układano chorą. Wydawała się, jak martwa; oczy miała otwarte, nieruchome, obojętne, jak gdyby nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje. Ani jęku, ani westchnienia.

Irena wpatrywała się uważnie w jej trupio-błądą maskę, okropnemi, sinemi plamami zeszpeconą, zmienioną, ale bardzo charakterystyczną, bardzo indywidualną w rysach.

— Ja ją znam! Ja ją muszę znać! — i szukała w myśli tej twarzy, oczyszczając ją z sińców, nakładając na nią barwy życia i zdrowia.

— Wiem, wiem! Ależ to pani Teresa Carpi! ona, nikt inny!

Tak; teraz już była tego pewną. Nie widziała jej dość dawno, ale kiedyś знаła ją tak dobrze! Przez kilka lat brała od niej lekcye muzyki, i lubiła ją bardzo.

Pani Teresa uchodziła wtedy w swej dziedzinie za pierwszorzędną siłę pedagogiczną. Ubiegano się o jej lekcye; dawała ich dużo, może za dużo, ale nie mogła odmawiać. Wiedziano, że jest wdową, że utrzymuje ze swej pracy dwoje dzieci, które szalenie kocha, a mało widuje, bo nie ma dla nich czasu.

Irena, chodząc do niej niegdyś na lekcye, poznała i tę miłą parę jedynaków, bardzo na swój wiek rozwiniętych, samodzielnych, zaradnych, a zawsze wesołych i rozradowanych życiem.

Nieraz, gdy w dyskusjach o kwestyi kobiecej zahaczono o ten wiekuisty węzeł gordyjski, niemożliwość pogodzenia macierzyństwa z pracą zarobkową, Irena przytaczała panią Carpi. Pracą dom utrzymuje i swoje dzieci dobrze wychowuje. Jakim cudem dokonywało się to wychowanie, nie wnikała, dość, że Basia i Stasiek i fizycz-

nym i umysłowym rozwojem przewyższali wielu rówieśników.

Poza tą okaleczoną biedaczką ujrzała teraz przed oczami wyobraźni dwa rozkoszne dziecięce buziaki.

— Biedne pisklęta! Co się z niemi dzieje? Co się z niemi stanie?!

Ślepy los, bezdusznie okrutny, musiał właśnie pod koła tramwaju rzucić tę kobietę, taką niezbędną, musiał zgnieść nie jedno, lecz trzy życia ludzkie naraz! Ileż ona tu w szpitalu widziała takich, dla których śmierć mogła być tylko ratunkiem i wyzwoleniem, którzy i w siebie i drugih wmawiali, że są chorzy, bardzo ciężko chorzy, bo tylko na tej zasadzie mogli wytargować łóżko pod zbolale kości i dach nad głową, a poza murami szpitala nie było ani kąta na świecie, gdzieby spokojnie śmierci czekać mogli. A tu oto opustoszałe i wygasłe ognisko, osierocone dzieci — dziś bez opieki, jutro bez obiadu, za kilka dni może na bruku!

Straszne, straszne jest życie!

Chora oczywiście nie poznawała jej; na

razie było to tylko jakoby obolałe i bólem odrętwione ciało. Irena nie siłała się przywoływać jej do przytomności. Zbyt często tu w szpitalu miała sposobność stwierdzić, jakim dobrodziejstwem dla człowieka bywa zanik świadomości. Ileż bezużytecznych cierpień oszczędził ludzkości chloroform! W tym wypadku dobrodziejstwem stawał się już nawet ból, jeżeli na zawieszenie funkcji psychicznych wpływał, bo czyliż nie więcej, niż rany, dręczyć mogła tę nieszczęsną matkę myśl o ukochanych dzieciach!

W sali szpitalnej nastąpiła względna cisza, przerywana jedynie czkawką, stękaniami lub jękiem, dochodzącym z pokoju rakowatej. Mandelbaumowa, wetując swą długą bezsenność, chrapała w najlepsze.

Irena spać nie mogła.

Poprzednie wyczerpanie i apatya minęły zupełnie. Widok pani Teresy wzburzył ją i rozbudził wszystkie bunt, które daremnie siłą woli hamować usiłowała, od czasu, gdy los ją zamknął w tym szpitalnym pawilonie. Gdyby ruszyć się stąd mogła, natychmiast poszłaby tam, do owych splakanych dziecia-

ków, które może dotąd zasnąć nie mogą, daremnie na powrót matki czekając. Przytuliłaby je, przygarnęła, oddała w opiekę dobrym ludziom... i zdaleka czuwała nad niemi... Jutro trzeba o tem pomyśleć; jutro dzień przyjąć. Jest jeszcze i ta druga sprawa, równie ważna, równie groźna, jeszcze bliżej ją obchodząca. To wszystko zwalczyć, temu wszystkiemu zaradzić potrzeba — a ona unieruchomiona, w zamknięciu! Po co? na co? A jednak — o ileby wyszła, byłoby jeszcze gorzej. Tu można przynajmniej zrobić coś pośrednio: Od samego rana pomówi z doktorami. Potem przyjdzie Bronka. Ale czy się to wszystko zda na co? Jeśli tu przyjdzie śmierć — a tam wszystko będzie stracone?!

I szła śmierć dzieci ludzkich sadem,
A oszczędzając niedołęstwo,
Raziła młodość, piękność, męstwo,
I rozpacz ludzka szła jej śladem!

Irena czuła dziś żywiej, niż kiedykolwiek, jak okrutnym nonsensem jest bieg spraw ludzkich. Umysł jej nakarmił się do syta tą ideologią, która każe doszukiwać

się w rozwoju dziejowym praw niezłomnych, logicznych, systematycznej ewolucyi, wiodącej do coraz większego udoskonalenia stosunków w kierunku ideału: maximum szczęścia dla maximum jednostek! Wolność, równość, humanitaryzm, zakreślający coraz szersze kręgi na powierzchni globu ziemskiego, znoszący rasowe i klasowe między ludźmi przegrody, aż do zupełnego kiedyś wyzwolenia, zbratania i pojednania — oto idea słoneczna, która przyświecała jej i tym, co z nią na jednym zagonie do pracy stawali. Ale uczucie jej nie zawsze sięgało tych wyniosłych, lecz chłodnych szczytów abstrakcyi, z których rozum tak rozległe obejmował widnokręgi. Ono reagowało na życie od strony indywidualnej; wrażliwe serce trzepotało się po kamienistych wąwozach, rozraniało w ciernistych gąszczach i ogrom przyszłego szczęścia mierzyło bezdną dzisiejszej nędzy i niedoli.

Na tysiąc ludzi wykazuje statystyka tyle a tyle zgonów, tyle samobójstw, tyle zbrodni, tyle nieszczęśliwych wypadków — i łatwo stwierdzić, w jakiej mierze rozwój

cywilizacyi redukuje tę żalobną i krwawą rubrykę ogólnego budżetu. Ale oto ginie człowiek, jeden tylko z tych dwudziestu czy trzydziestu na tysiąc, wszystko jedno. Dla dziecka osieroconego, dla matki rodzonej jest on przecież jedynym i nikt z tych pozostałych milionów nie zastąpi go nigdy. Czasem jest on też jedynym dla danej misyi, dla świętej sprawy, którą poślubił, dla dzieł natchnienia, które się w jego mózgu zrodziły. Wraz z nim idzie do grobu nieobliczalna siła twórcza, bezpowrotnie już stracona. A wśród tego żyją i mnożą się całe rojowiska zbytecznych, *der Viel zu Vie-len* — jak mówi Nietzsche — nikomu, nawet sobie samym niepotrzebnych, sobie samym uciążliwych narośli na organizmie społecznym. Bytują setki istot szkodliwych, siejących wkoło siebie zniszczenie, nieszczęście, krzywdy, rozsadniki krwiożerczego barbarzyństwa, zuchwale tryumfującej głupoty, świadomych czy nieświadomych zatorów i zawalisk na drodze ku owym promiennym szczytom. Kto w górę zmierza, usuwać je musi; niesie im zagładę.

Tu nagle wątek myśli Ireny przerwał się. Stała jej przed oczami historia świeża jeszcze.

Zginał jeden z tych, co budzili powszechną odrazę; westchnieniem ulgi powitano skon jego, a jedno serce kobiece pękło. I on był dla kogoś najdroższym, jedynym, treścią życia, racją istnienia...

Die Viel zu Vielen... A my? a ja? Może także z pewnego punktu widzenia zbyteczna, szkodliwa nawet? I ja jestem dla kogoś chwastem do wyrwania, kłakolem, przez dyabła posianym.

Przyszły jej na myśl zakonnice. Wiedziała, że nigdy niczem siostry Kasyldy nie zjedna. Im lepszą będzie, tem niebezpieczniejszą jej się wyda. Im więcej cnót chrześcijańskich wykaże, tem więcej zgorszenia rozsiej, gdyż wzbudzi wiarę, że cnoty chrześcijańskie istnieć mogą i bez chrześcijaństwa. Wszystko, wszystko jest względne — i wszystko jest subiektywne.

— Ale czyż ja jestem jakąś abstrakcyjną sprawiedliwością, a nie człowiekiem, jak drudzy? Czyż mnie nie wolno walczyć

o moje szczęście, moje dobro, mój ideał?!... Walczyć?!

Zaśmiała się gorzko.

Leżała złamana, wyczerpana, z głową rozgorączkowaną i bezsenną. Tuż nad jej uchem rozlegało się chrapanie Mandelbaumowej, z bocznego pokoiku dochodziły rozdzierające jęki rakowatej, w wielkiej sali co chwila budziła się jakaś chora i zbolalym głosem wzywała »nocną Jadzię«.

— O nich — o tych chorych mówią także: »walczą z chorobą«, »pasują się ze śmiercią« — tak i ja walczę i ja pasuję się z mojem złem o moje dobro. Każdy na coś cierpi i od czegoś ginie. Jeden na raka, drugi na gruźlicę, trzeci na miłość sprawiedliwości — lub inną chorobę. Ach! czemuż — czemuż na znieczulenie mego bólu niema morfiny, ani chloroformu?... Im mniej świadomości — tem mniej cierpień. Jestem może zanadto uświadomiona...

Zwolna myśli jej splątały się i zlały w szeregi mglistych obrazów. Kornety zakonnic, obandażowane twarze, płomyki lamp

elektrycznych, ryża głowa na chudej tyce w szpitalnym szlafroku, posiniała twarz pani Teresy i załzawione oczy jej dzieci — wszystko to skłębiło się w jedno dręczące majaczenie. Wkońcu zasnęła mocno. Nie słyszała nawet, gdy rano wynoszono rakowatą, która przed świtem skonała.

Obudziła się później, niż zwykle. Było już po pacierzu, choć z racyi niedzieli modlitwy trwały dłużej. Obudził ją dźwięk dzwonka kościelnego. Odchodził widać ksiądz, wezwany przez troskliwe zakonnice do jakiejś niebezpiecznie chorej na wielkiej sali.

— Zapewne zasilano św. sakramentami na drogę wieczności panią Teresę — pomyślała Irena.

Nie myliła się. Ale zanim zdążyła się ubrać i zajrzała do sali, było już po świętych obrzędach, z których chora może nie bardzo jasno zdawała sobie sprawę, gdyż leżała nieruchoma, w tej samej pozycji, jak ją złożono w nocy — tak samo osłupiała, sina, kamienna.

W jadalni za to i na korytarzu panowało ożywienie i gwar, nieomal wesoly.

Każda prawie z chorych oczekiwała dziś swoich gości, a, co za tem idzie, wieści ze świata i przysmaków domowych.

Zbliżała się też chwila pojawienia się doktorów, a ich obecność wносиła zawsze na kilka godzin ruch i życie, przerywając zwykły nastrój przygnębienia i nudy szpitalnej. Każda oczekiwała po nich czegoś: ta ulgi w dotkliwych cierpieniach, ta przyspieszenia długo oczekiwanej operacyi, inna zapowiedzi szybkiego powrotu do zdrowia i wypisania się ze szpitala. Jedna miała gotową skargę, druga prośbę — a wszystkie dawniejsze ciekawe były nowych chorych i nowych, sensacyjnych operacyi.

Stopniowo bowiem, po dłuższym pobycie w szpitalu, w każdej chorej zanikał pierwsiastkowy wstręt do kalectw, narośli, wrzodów, a wzrastało zainteresowanie dla wybryków natury i szacunek dla cudów chirurgicznego kunsztu.

Po dokonanych operacyach i odejściu doktorów zaczynały się powszechne umizgi do Macieja, starszego służącego, by pokazywał, co komu wycięto, a potem opowia-

dania o owych osobliwych naroślach, nowotworach, noszących cudaczne, łacińskie nazwania, które Maciej z powagą i namaszczeniem recytował, olśniewając chore swą uczonością.

Były jednak i takie, które ze strachem oczekiwały przyjscia doktorów właśnie ze względu na owo wypisywanie. Jedna z nich, łzami zalana, wezwała do swego łóżka Irenę:

— Moja pani! Moja dobra pani! Pani się zna z doktorami; niech się pani do nich wstawi za mną! Podobno mnie chcą wypisać! Co ja zrobię ze sobą? Gdzie się podzieję?! Noga się zgoiła — mówią. Ale ja przecież chodzić nie mogę. O kuli chodzę i utykam. Kto mnie z taką nogą do służby weźmie?! To głupiemu powiedzieć! Niech pani sama powie! Domu nie mam; dzieci nie mam. Po służbach się tłukłam, zdrowie sterałam, nogę straciłam. Gdzie mi dach nad głową? Gdzie mi chleba kawałek? Żebrać pod kościołem chyba. Oj! oj! tego się doczekałam!

Łkała w głos żałośliwie na swem łóżku,

z którego dziś z zasady ruszyć się nie chciała, by okazać, że chodzić nie może. Rzeczywiście chodziła tylko o kuli.

Irena stanęła nad nią zamyślona, szukając odpowiedzi na tę rozdzierającą prośbę.

— Oto znowu taka beznadziejna niedola, na którą rady niema. Oczywiście, powinny istnieć przytulki dla starych sług, dla kalek, dla inwalidów pracy. Podobno nawet są, ale tak ich mało, a tych niedobitków ludzkich tak wiele! O miejsce w przytulku starać się trzeba przez wysokie protekcyje, niby o jakiś tytuł lub złotodajną synekurę.

— Czy siostry nie znalazłyby pani miejsca w schronieniu?

— Och! siostry! — z goryczą mruknęła chora. — Znajdą; jak zechcą, to znajdą; mają one swoje faworytki. Ot! Szurkowej nie wypisują, choć od kilku miesięcy biega po szpitalu, jak młoda dziewczyna, i pasie się, jak gęś na święty Marcin.

Zawistnem okiem rzuciła na żydówkę, która swoją drogą zmykała do kuchenki, czując nadciągającą burzę, to jest słysząc głos »pani-doktor« na schodach.

— Ja jej nie mogę lubić — mawiała żydówka. — Ona taka zła, taka zła! Tylko patrzy, kogoby wypisać.

Faktem jest, że pani dr. Grąbska nie podzielała ogólnej słabości do Szurkowej i codzień szła do szpitala z zamiarem wypisania tej bohaterki z połataną czaszką.

— Ona zrujnuje tę swoją gminę — mówiła. — Toż baba już dziesięć miesięcy siedzi tu niepotrzebnie, a za każdy dzień Kock po rublu płacić będzie.

Chytrze i zwinnie Szurkowa schodziła jej z oczu. Wynurzała się do sali i na korytarz tylko wtedy, gdy za »panią-doktór« zamykały się drzwi sali operacyjnej.

Zresztą Grąbska tak była zajęta swemi chorem, że z łatwością zapominała o nieobecnych.

Irena, słysząc, że się zbliża, skwapliwie wybiegła na jej spotkanie.

Chciała jej powiedzieć o pani Teresie, a właśnie przed chwilą, w »Kuryerze Porannym«, który jej co rano przynoszono, wyczytała dziwną wiadomość w rubryce wypadków pod tytułem »Najechanie«:

»W Alejach Jerozolimskich, o godzinie dziewiętej wieczór, tramwaj elektryczny najechał jakąś głuchą kobietę, która, mimo sygnału ostrzegającego, stała na szynach. Pogotowie w stanie ciężkim odwiozło ją do szpitala Cierniowej Korony«.

Niewątpliwie ten sam wypadek, tylko — pani Teresa nie była głuchą. Żyła przecież z lekcyi muzyki, a przed laty miała trochę lokalnej sławy artystycznej. Albo tedy — straciła istotnie słuch, a więc i sposób do życia, albo... nie chciała słyszeć sygnału. Tak, czy owak, była tu jakaś straszna tragedia.

Doktór Grąbska nie miała bynajmniej pozorów istoty tkliwej. Nawet wśród swoich męskich kolegów wyróżniała się rubaszną szorstkością, zaprawioną niezmaconym humorem. Nie rozczulała się nad swemi pacjentkami, ale przez swój wesóły, pogodny nastrój dodawała im ducha i energii.

Choroba była dla niej rzeczą normalną, bardzo zajmującą i ciekawą; ból jej nieodłączną i w pewnej mierze nieuniknioną właściwością, nad którą ani lez ronić, ani rąk

łamać nie ma co, tylko trzeba radzić. Z zapalem, ochotą, energią zabierała się co dnia do swych operacyi i opatrunków; sumienie, starannie, nie żalując trudu i czasu, krajała, zeszywała, jodynowała, bandażowała.

Bez tej roboty żyć poprostu nie mogła. Pierwsza zjawiała się w szpitalu, ostatnia odchodziła. Ceniono ją wysoko i ufano jej bezgranicznie. Miała trafne oko, pewną rękę i nigdy niczego nie przegapiła.

O ile jednak oswojona była z bolem fizycznym i mało mu poświęcała uwagi, o tyle wszelkie cierpienia moralne brała głęboko do serca.

Poza każdą chorobą widziała jej zboląłą rodzinę, jej osierocone ognisko, bezdomną dziatwę, jej nędzę i troski.

— Nie powinna umrzeć, niech choć jeszcze dzieci wychowa! — i tą myślą rozgrzewała się do walki z najbardziej nawet beznadziejnym wypadkiem choroby. Wtedy nie była to już dla niej tylko z amatorstwa wykonywana robota, lecz święta powinność, nakaz sumienia.

Irena знаła ją z tej strony, więc z za-

paleniem opowiadała jej o pani Teresie wszystko, co wiedziała i co przypuszczała.

— Niegdyś mówiono, że ma wielki talent; była podobno prześliczna i mogła mieć wielkie powodzenie. Koncertami zarabiała na to, by leczyć męża. Kiedy umarł, utrzymywała swe dzieci z lekcyi muzyki. Nie chciała się z niemi rozłączać i zaniechała artystycznych podróży. Chodziłam do niej wtedy na lekcyę i poznałam te dzieciaki rozkoszne. Nie występowała publicznie prawie wcale. Czasem na cel dobroczynny, bo w takim razie nie umiała odmawiać. Ileż się ona napracowała darmo! Potem straciłam ją z oczu, aż dziś w nocy zobaczyłam w szpitalu. Niech ją pani weźmie, niech mi pani powie, jak się rzeczy mają, bo chciałabym to wiedzieć dla jej dzieci. Może dla nich jakąś opiekę znaleźć trzeba.

Grąbska słuchała uważnie.

— Dobrze, zajmę się nią. A będzie pani miała komu dzieci powierzyć?

— Postaram się. Dziś siostra będzie u mnie.

Lekarka już przypasała fartuch, zawi-

nęła rękawy i kierowała się ku wielkiej sali. Zabiegła jej drogę faworytka jej, mała »gosposia«:

— Pani dochtór, dziś tatuś psyjdą i pytają się, jak ze mną będzie i cy to długo jesce tech opatrunków?

— Czekaj, mała, czekaj. Jak tatuś przyjdą, to ja z nim pogadam. Teraz to mu się spieszy, a odwieźć cię do szpitala, to mu nie było pilno. Jakże tam? — zwróciła się do kolejarzowej. — Będzie operacya, czy nie? Cóż mąż mówi?

— A toć czekam na tego kochanego mężusia od samego rana. Musi przyjść i powiedzieć. Ale coś się nie spieszy.

— Uspokój się pani, w kościele siedzi pewnie.

— Aha! w kościele! — wybuchnęła. — Już ja nawet wiem, w jakim i do kogo się modli!

Ale »pani-doktór« już nie słuchała reszty jej przemówienia i kolejarzowa poszła wyłąć gorycz swego serca do cierpliwych uszu nieszczęśliwej Ziółkowskiej, którą bez-

skutecznie usiłowała przeciw zdradzieckiemu rodowi męskiemu zbuntować.

— Oj! te chłopiska, to szelmy! — powiadam pani. Panin też pewno nie lepszy. Tu żona ledwie zipie, a on ani się pokaże.

— Może się i pokaże — słabym głosem jęknęła chora.

— Ale kiedy? kiedy? Mówię pani, pewno taki on dobry, jak ten mój. Ma dziś wolny dzień, to zamiast tu do mnie od rana przyjść, naradzić się, póki doktorzy nie przyjdą, to on tam pewnie z tą klempą — z tą niby kuzynką moją — po Warszawie buszuje. Niech-no tu przyjdzie, to ja już jemu dam!

— To też i nie przychodzi; może się boi! — jęknęła Ziółkowska.

— Pani też tam coś mówiła o kuzynce, co się to waszym sklepem zajmuje. Moja pani, niech pani nic nie wierzy. Dziś taki podły świat. Jabym trzech groszy nie dała, że ona tam więcej męża, niż sklepu pilnuje.

— A może — szepnęła apatycznie Ziółkowska.

— A pani na to nic? Jabył mu oczy wydrapała, a jej kości połamała!

— Co ja im zrobię?

Istotnie trudno sobie było wyobrazić, aby ten ledwie dyszący kawał pokaleczonego ciała miał komuś kości łamać, oczy wydrapywać. Na szczęście nie było nawet ochoty do takich operacyi.

— Zresztą po co to? na co? Co mi to szkodzi? Dbają o mnie, lekarstw nie szczędzą, pielęgnacyi nie szczędzą, dużo pieniędzy kosztuje ta moja choroba. To nawet nie warto tyle, ile ten biedny mężczyśko łoży — mówiła z pewnem ożywieniem i rozczuleniem w głosie.

— Ale ja pani mówię — że on z nią żyje!

— A z kimże ma żyć? Z takim trupem? — i spojrzała wymownie po sobie.

Kolejarzowa, zgorszona tak grzeszną tolerancyą, wstrząsnęła grubemi ramionami i, odwróciwszy się niechętnie, wyszła na schody, by przez okno wypatrywać swego zdrajcę-małżonka.

Na schodach zaś stawało się coraz roj-

niej i gwarniej. Wprawdzie rozmowy, przez wzgląd na poważny charakter miejsca, toczyły się stłumionym głosem, ale rozmawiających było coraz więcej.

Garstka pacjentów ambulatoryjnych obsiadła ławkę przy wejściu, czatując na doktorów i felczerów; tu i owdzie zjawiali się już krewni chorych, nie czekając oznaczonej na przyjęcia godziny lub korzystając ze specjalnych przywilejów.

Posługacze i felczerzy w białych fartuchach krzątali się po pawilonie, sprowadzając chorych na opatrunki, a wśród tego snuły się chore w modrych szlafrokach, nadstawiając uszy, by złowić najświeższe nowinki.

Doktorzy byli w nieszczególnych humorach, jak zwykle w niedzielę, gdy dla nawalu obcych ludzi, oraz przez wzgląd na świąteczny odpoczynek, żadnej porządnej roboty przedsięwziąć nie można. Brano na stół operacyjny tylko niecierpiących zwłoki pacjentów, a poza tem poprzestawano na opatrunkach.

Z tej racji łatwiej było pochwycić doktorów na chwilę rozmowy.

Skorzystała z tego Irena, by w progu sali operacyjnej zamienić szeptem kilka słów z ordynatorem Dłutowskim.

Wiadomość, otrzymana przez telefon, wymagała wyjaśnień i uzupełnień; te jednak zwiększyły jej przygnębienie. Lekarz zresztą referował tylko ustnie krótkie informacje swego siostrzeńca, adwokata Brońskiego, brzmiące nadspodziewanie ponuro.

Lada chwila grom mógł uderzyć—i tylko dla niewytłumaczonych powodów wstrzymywano go jeszcze.

Irenę zimny dreszcz wstrząsnął od stóp do głowy; chwiejnym krokiem skierowała się do swego pokoiku, ale ten całkiem już został opanowany przez bliższą i dalszą familię Mandelbaumowej.

Ach! jakże pragnęła chwili samotności i ciszy!

Chciała rzucić się na łóżko, głowę ukryć w poduszce i zebrać myśli do ostatecznego wysiłku walki o swój najdroższy, ostatni promyczek szczęścia!! Niepodobienstwo!

Na jej łóżku siedziały już trzy kuzynki o olbrzymich kapeluszach, ozdobionych nieprawdopodobnie imponującymi pióropuszcami, w pluszowych żakietach i z błyszczącymi bajecznym ogniem kolczykami, z fałszywych brylantów, w uszach.

Pani Mandelbaumowa z gracyą interesującej rekonwalescentki spoczywała na swoim łożu, a u jej stóp siedział, wpatrując się w nią, czuły małżonek, objuczony paczkami czekolady, torbami pomarańcz i innych delikatesów. Dalej na stołeczku poważna mama w peruce i atlasach, dwoje siostrzeńców i szwagier, i siostra, i jeszcze kilka młodszych i starszych osób.

Wszystko to na widok Ireny bardzo uprzejmie zaczęło jej robić miejsce, ale ona wolala się cofnąć do względnie pustego pokoiku Ziółkowskiej. Stamtąd, z przyczyny złego powietrza, każdy najchętniej uciekał i teraz też po odejściu kolejarzowej nikt się nie pojawił.

Chwilę posiedziała na stołeczku, z głową o poręcz łóżka opartą, gdy nadszedł do swej pacjentki dr. Szczygłowski.

— Co pani robi tutaj? — spytał zdziwiony.

— Nic — myślę. A właściwie czekałam na pana. Czy chora pójdzie na opatrunek? — spytała, wskazując Ziółkowską.

— Tak jest. Zaraz po nią przyjedzie Maciej. Tymczasem słucham pani.

Irena zniżyła głos:

— Czy nie moglibyście zaraz, dziś wypisać Jerzego?

— Wypisać?! — zawołał zdumiony i z wielkim znakiem zapytania w oczach wpatrywał się w Irenę. — W obecnym jego stanie? Nigdy!

— Wszakże jest pono na dobrej drodze. Wczoraj mówił pan sam. Resztę kuracji możeby można przeprowadzić w domu, w jakimkolwiek domu? Wypiszcie go, póki czas! — nalegała błagalnie, składając ręce.

Teraz zrozumiał, o co chodzi, i zamyślił się smutnie.

— A czy jeszcze jest czas? Czy pani tego pewna?

— Mówił pan z Dłutowskim?

— Tak.

Po chwili ciężkiego milczenia Irena rozpoczęła znowu:

— Bójcież się Boga! Przyniesiono go wam z ulicy, w nocy. Oddało go Pogotowie, nikt inny. Dla was jest przecież tylko chorym, przypadkowo rannym, o którym nic nie wiecie.

— Gdyby chodziło o przekonanie nas, panno Ireno, nie potrzebowałyby pani nawet tych argumentów — odparł doktor poważnie i smutnie. — Dla nas jest on jeszcze ciężko chorym, którego dotąd mamy prawo zatrzymać w szpitalu i leczyć — nie pytając o nic. Z chwilą, gdy się wypisze... Czy pani przyszło na myśl, że mu przecież jeszcze bandaży zdjąć nie można, że on o własnych siłach iść nie może, a coś dopiero uciekać?

Irena ukryła twarz w dłoniach.

— Ale pani niech tam już nie chodzi; ja nie pozwolę — dodał zwolna, stanowczym, przyciszonym głosem i, nie słuchając jej cichego protestu, wezwał Macieja, by zabrał chorą na wózek i do sali opatrunkowej zawiózł.

Na krótką chwilę została sama.

— Ach! gdybyż choć można wypłakać swój ból i rozpacz! Wszystko ukrywać, wszystko w sobie ciągle zamykać trzeba, boć wie, że i tu jest nieustannie pod czujną obserwacją, tylko nie wie, skąd, z jakiego kąta śledzą ją jakieś chytre, podejrzliwe oczy. Zresztą uwaga wszystkich jest w pewnej mierze zwrócona na nią. Jej osoba na tle szpitalnej nudy i beczynności rysuje się, jak intrygujący znak zapytania.

Podeszła do okna, które otwarto dla wypuszczenia zaduchu, korzystając z nieobecności Ziółkowskiej.

Znowu był dzień jasny, słoneczny, dyżący wiosennem tchnieniem. Jeden z tych dni, w którym najsmutniejszym duszom narzucać się musi myśl o szczęściu i rozrzuca je tem boleśniej, że to szczęście nie dla nich. Serce czuje się do radości stworzone i lka, że je z tej przynależnej mu radości życia okradziono.

Mnóstwo ludzi obcych ciągnęło od głównej bramy w stronę pawilonów, a niemal co trzecia z kobiet niosła jakieś kwiaty. Ta

bukieciak fiołków, ta doniczkę z kwitnącym hyacyntem, ta wiązanek sasanek leśnych.

Na smutne szpitalne łóżka, w atmosferę, przesyconą jodoformem, padały te dary ręki kochającej, niby błogosławieństwo wiosny, w krainę bólu i śmierci symbole życia i zmartwychwstania.

— Moja pani — kto słyszał tak okno otwierać? Ja się zaziębić mogę. Ja chora jestem! — warknął głos zgryźliwy za plecami Ireny.

Zapomniała już była, że miejsce obok Ziółkowskiej zajmowała od niedawna druga pacjentka, której zresztą wcale prawie w pokoiku nie widywano, gdyż krążyła po całym szpitalu, nasłuchując opowiadań o różnych chorobach i coraz to inaczej wedle pochwyconych świeżo wzorów charakteryzując własne cierpienie. Zapewniała, że dotąd nikt jeszcze na jej chorobie się nie poznał, co ją do rozpacz i wściekłości doprowadzało.

— Niech się pani cieszy, że okno otwarte — odpowiedziała Irena. — Pani nie mogłaby długo w tym zaduchu wytrzy-

mać. Lepiej, że trochę wiosennego powietrza wejdzie do pokoju!

— Ho! ho! To bardzo zdradliwe takie powietrze. Toć ja od tego choruję.

— Naróśl w kiszkaach z powietrza? — spytała Irena, która właśnie wczoraj musiała wysłuchać długiej historii o owej interesującej narośli.

— Ale, gdzie-tam! moja pani. Ja mam gorączkę pod pachą. Naprawdę; trzy razy na dzień mi tam siostra szkło przykładac musi. Tak! tak! To nie byle co, taka choroba!

Oczywiście mierzono jej temperaturę. Wystarczyło to jej jako pretekst do umiejscowienia pod pachą choroby, której dotychczas doktorzy w żadnym innym organie dopatrzeć się nie mogli. Była to jedna z histeryczek, stanowiących dla doktorów pilę drewnianą, istną plagę szpitala. Koniecznie chcą być chore, leczyć się jak najpracowiciej i jak najefektowniej. Każda kuracya i każda operacya jest im potrzebna. Z przyjemnością odgrywałyby codzienną próbę kona-

nia, byle nazajutrz jeszcze trochę żyć i jeszcze się leczyć.

Dr. Grąbska była na nie biczem Bożym.

— Chce pani? Głowę odetniemy: nawet z niemalym pożytkiem, bo pani choroba w głowie siedzi. Niech się pani tylko zgodzi, to ja zaraz operacyę zacznę!

— Ta »pani-doktór« to ma karawańskie serce — mówiły o niej histeryczki.

Irena również nie miała ochoty rozrzucać się nad tą pacjentką, która zresztą przy każdej okazji zanudzała ją pytaniami o prywatne adresy doktorów, by móżdż ich nachodzić we własnych mieszkaniach, jeśli tu w szpitalu nie raczą się zająć i pokračować należycie.

Wypłoszona ze swego chwilowego schronienia, cofnęła się znów na korytarz, gdzie też zaraz spotkała swoich gości.

Była to owa oczekiwana Bronka, wraz z siostrą Ireny i jej dziesięcioletnią siostrzenicą, jasnowłosą Lilcią o roztropnych i łagodnie uśmiechniętych, siwych oczętach.

W poszukiwaniu najzacisznego kąta, gdzieby spokojnie i bezpiecznie najpilniejsze

sprawy omówić można, przeszły przez wielką salę, jadalnię i schroniły się na obszerny balkon, oblany południowymi promieniami słońca.

I tam zresztą było już kilka chorych, między innemi Szurkowa, posiadająca tu doskonały punkt obserwacyjny, gdyż przez oszklone drzwi mogła śledzić cały ruch w pawilonie i upatrzeć chwilę, gdy groźna doktor Grąbska zniknie z horyzontu.

To spotkanie było Irenie nie na rękę. Szurkowa miała bardzo czujne uszy. Trzeba było usunąć się w kąt balkonu i rozmawiać najcichszym szeptem.

Trzy głowy kobiece pochyliły się ku sobie i w poufnej naradzie szukały jakiegoś cudownego, zbawczego pomysłu.

Lilcia ciekawie patrzyła w głąb sali, a zbliżywszy się do Szurkowej, zagadywała ją nieustannie, prosząc o różne wyjaśnienia, dotyczące to nowych chorych, to zwyczajów szpitalnych. Może rozmyślnie, sprytne i wtajemniczone dziecko, odwracało uwagę żydówki od rozmowy matki z ciotkami.

Naraz jej trochę sztuczne zainteresowa-

nie zamieniło się w rzeczywiste i bardzo żywe.

Środkiem sali przeszła para dzieci; chłopiec, najwyżej dwunastoletni, prowadził za rączkę o kilka lat młodszą siostrzyczkę. Oboje mieli oczy spuchnięte od płaczu, twarzyczki blade, zgnębione.

Szły te dzieciaki krokiem nieśmiałym, spłoszone, wylękłe, niepewne, w tem obcym dla siebie, a tak ponurem otoczeniu. Nagle przystanęli oboje i wybuchnęli jękiem, krzykiem, łkaniem, tuląc się wzajem do siebie.

Ta straszna, żywiołowa burza dziecięcej rozpaczki wstrząsnęła całą salą, zapanowała nad stłumionym gwarem, szumem i pomrukiem rozmów, toczonych półgłosem, kwileń i jęków, płynących z piersi pacjentek.

Był to grzmiący, namiętny bunt żywych, dziecięcych serc przeciw razem srogiemu, nieubłaganego losu.

— Mamo! mamó! — wołały dzieci wśród spazmatycznego szlochania — mamó! matusiú!!

Ich świat cały, ich życie, ich opatrzność, wspomnienie wczorajszej pieszczoty, lęk przed

straszna pustką, przed czarną przepaścią jutra i żal, serdeczny, rozdzierający żal nad tą drogą, świętą, a tak strasznie podruzgotaną istotą — wszystko to zawarło się w tym okrzyku:

— Mamo! matusiu!!

Irena zerwała się na równe nogi.

— Misiu! Bronko! Chodźcie! Ach, nie, zdążyłam wam powiedzieć. Te dzieci, to pani Teresy Carpi. Przywieziono ją tu w nocy. Tramwaj ją przejechał. Trzeba się niemi zająć.

W mgnieniu oka znalazły się wszystkie cztery przy łóżku nieszczęśliwej matki.

Twarz chorej wyrażała jeszcze straszniejsze uczucia, niż krzyk jej dzieci. Tak wyglądać mogły tylko twarze ofiar, torturowanych przez średniowiecznych katów. Wykrzywiały ją bolesne skurcze; oczy wychodziły na wierzch, wysadzone piekielnym strachem, a sine i zielone pręgi występowały na trupio-bładej masce, ujętej w białe ramy bandaży szpitalnych.

Pani Misia serdecznym, macierzyńskim ruchem przygarnęła do piersi obie główki

dziecięce, osuszała im oczy, uciszała łkanie, i z wolna, łagodnie odciągała od matczynego łóżka, wiodąc w kierunku balkonu, by na świeżem powietrzu ochłoneły po pierwszym wstrząśnieniu.

Równocześnie Irena przechyliła się nad chorą, zasłaniając jej swą osobą widok rozelkanych dzieci.

— Pani Tereso — rzekła półgłosem — poznaje mnie pani?

Głaskała dłonią rękę chorej, leżącą na kołdrze, i powtarzała:

— Pani Tereso! Teresito!

Niespodzianie przypomniła sobie to przezwanie, które jej kiedyś dawała w momentach serdecznego przymilenia, a które nauczycielka lubiła bardzo, bo jej przypominało krótkie lata artystycznej sławy i równie przelotny i znikomy okres szczęścia i miłości.

I dziś dźwięk tego imienia »Teresito!« wyczarował widocznie w jej półświadomości jakieś słodkie, kojące echa, gdyż wyraz jej twarzy miękł, łagodniał, oczy przygaszały

sennem znużeniem i pograżała się znowu w poprzednią nieruchomość i apatyę.

Irenie pilno było teraz rozmówić się z Grąbską.

Znalazła ją w sali opatrunkowej w towarzystwie kilku doktorów, którzy z zainteresowaniem oglądali szarpaną ranę na nodze jakiejś kobiety, przypadkowej ofiary ekonomicznego teroru. Bomba, przeznaczona dla majstra krawieckiego, ugodziła jego sługę, nie mniej zapewne eksploatowaną, niż jego wyrobnicy. Ta okrwawiona, poszarpana lądka miała — zdaje się — stanowić tamę dla rozwoju chałupnictwa.

Doktorzy byli pysznie usposobieni. Robota zapowiadała się dobrze.

— Niech pani będzie spokojna; kość nieuszkodzona, a mięso odrośnie.

— I będzie zupełnie świeże. Ta noga będzie o trzydzieści lat młodsza, niż całe ciało — żartował Kętrzyński.

Grąbska dostrzegła Irenę w progu sali.

— I dla pani mam dobrą wiadomość — rzekła. — Wasza — jak jej tam? no, wasza nauczycielka jest tylko mocno potłu-

czona. Widocznie motorowy w porę tramwaj zatrzymał. Wewnętrznych uszkodzeń niema, a złamany obojczyk i noga, to zupełnie banalne rzeczy.

— A czemuż taka osłupiała, nieprzytomna?

— Co pani chce? Żeby tak panią z pod tramwaju wydobyto, toby też pewno na razie filozofować nie mogła. Toć to wstrząśnienie silne i ból, który sam przez się wystarcza, by zemdleć.

— A więc będzie żyła? Wyzdrowieć może?

— Oczywiście.

— Prawdopodobnie — poprawił Szczygłowski. — Niech pani nigdy nie mówi na pewno. Czyż te wszystkie niespodzianki szpitalne nic was nie nauczyły?

Niespodzianki bywały rzeczywiście straszne. Jedna z nich była im jeszcze świeżo w pamięci. Nie dalej, niż tydzień temu, operowano kobietę, w średnim wieku, matkę licznej rodziny. Choroba nie należała do złośliwych, organizm nie wydawał się nadmiernie wycieńczony, operację wykonano

tak ostrożnie i starannie, że pacjentka nawet pół łyżeczki krwi nie straciła, gdyż po długich i częstych krwiotokach unikano dla niej najmniejszego nawet krwawienia, a mimo to w dwadzieścia cztery godzin po operacji skonała. Dlaczego? nikt nie pojmował. Było to jak uderzenie obuchem w głowę.

— To ręce opadają — desperowała Grąbska.

Doktor Szczygłowski tylko przypomniał, że w ostatniej chwili, gdy ją już na stół operacyjny położono, chora zlekła się czegoś i prosiła o odłożenie operacji. Nie posłuchano; zdawało się, że każda zwłoka pogarsza stan jej zdrowia.

— Nigdy nie należy operować pacjenta, który się boi i w operację nie wierzy — mówił Szczygłowski.

W przeciwieństwie do większości chirurgów, przywiązywał on wielką wagę do czynników psychicznych, do niewymiernych i nienamacalnych przejawów w organizmie. Każda dyagnoza była dla niego tylko prawdopodobną hipotezą.

— Nie my leczymy, natura leczy, a któż

z nas obliczy wszystkie twórcze i niszczyielskie siły, w niej tkwiące? Chirurg usuwa z organizmu tylko widoczne przeszkody do zdrowia. Reszta nie od niego zależy.

Nikt mu uparcie nie przeczył; w teorii nawet może mu przyznawano słusność; w praktyce jednak istniało dla kolegów w organizmie jedynie to, co trzeba i można było wyciąć, zeszyć i zagoić. Wszystko inne miało znaczenie tylko o tyle, o ile mogło wpływać na bieg operacji, na przykład wada serca interesowała jedynie ze względu na niemożność użycia chloroformu.

Słowa Szczygłowskiego rzuciły jednak pewien cień na uspokajającą dyagnozę Grąbskiej.

Irena widziała jeszcze przed oczami twarz Teresy, skurczoną przerażeniem i bólem. W tej chwili postanowiła kurację psychiczną ująć we własne ręce.

— Czy Mandelbaumowa długo jeszcze pozostanie w szpitalu?

— Jutro ją wypiszemy — zdecydował Łzawicki.

— Już jutro? Ona bardzo się tem zmartwi.

Mówi, że nie może się trzymać na nogach — referowała sumiennie Irena.

— Pocóż ona ma się trzymać na nogach? — rzuciła Grąbska. — W domu ma łóżko, fotele, kanapy, może leżeć, siedzieć — ile się podoba. Może się dać mężowi na rękach nosić, jeśli zechce. My nie mamy przy niej już nic do roboty.

— Tem lepiej — odezwała się Irena. — Chciałam właśnie prosić, by na jej miejscu można położyć panią Carpi. Będzie jej tam wygodniej i spokojniej, niż na wielkiej sali, a ja chętnie czuwać przy niej będę.

— Niech pani siostronom powie — odrzekł Dłutowski.

— Nie, nie! — zaprotestowali inni. — Siostronom kolega sam powiedzieć musi i to zupełnie kategorycznie. Prośba panny Ireny nic dla nich nie znaczy.

— Dla chorej to może być nawet bardzo ważne — dodał Szczygłowski.

— A cóż pani z dziećmi zrobi? — spytała Grąbska.

— Moja siostra teraz je utula i pewno niemi się zajmie. Zaraz postanowimy coś

o tem. Ja tymczasem zaniosę im dobrą wiadomość.

Pożegnała się.

Doktorzy też kończyli robotę i zabierali się do domu.

Posługacze myli już salę operacyjną, Natalka czyściła narzędzia; ostatnie pacjentki odwieziono już z opatrunków na łóżka, a tymczasem coraz nowa fala obcych gości wypełniała korytarze, pokoiki i salę.

Obok wyelegantowanych dam i panów, rozmaita biedota, wyczesana i wymyta od święta, różne, nieznane nikomu, dziwnie podejrzanie wyglądające indywidua z miejskich zaułków, kilku chłopów ze wsi, rzemieślników z podmiejskich osad, ale oczekiwanego przez kolejarzową męża dotąd nie było. Baba kipiała z wściekłości, szukając powierników swego gniewu, co nie było łatwem, gdyż słuchały ją cierpliwie tylko te chore, które tu dziś nikogo nie miały, a i one wołały spowiadać się z własnych cierpień, niż słuchać cudzych.

W pokoiku Ireny wciąż było tłumno i gwarno. Wsunęła się tu oczywiście i Szur-

kowa, skwapliwie poszukująca zamożniejszych gości, by im zaofiarować jajka na sprzedaż, swe uprzejme usługi spieniężyć lub zaprezentować ową fotografię z dziurami w głowie i raz jeszcze zaimponować swoją nadzwyczajną reparacją.

Na wielkiej sali powietrze stawało się coraz gęstsze. Wyziewy ran, zapach jodoforu, pot i oddechy ludzi, mytych rzadko i niestaranie, wypełniały ją trudnym do zniesienia zaduchem. Tylko na balkonie można było swobodnie oddychać; tam też skupiło się małe kółko gości Ireny, zwiększone o nieszczęśliwą parę dzieciaków. Staś i Basia, ochłonawszy z pierwszego wrażenia pod wpływem serdecznego współczucia kobiet, rozgadali się, a z ich urywanych opowiadań można już było w przybliżeniu odtworzyć obraz położenia.

— Czy ty się uczysz? Chodzisz gdzie do szkoły? — zagadnęła Stasia Bronka.

— Nie; chodziłem dawniej, potem mama mnie uczyła.

— Czy mama miała czas na to?

— O! tak. Mama miała w końcu bardzo mało lekcji.

— I mało pieniędzy — dodała Basia.

— Właśnie miała przynieść pieniądze tego wieczora — objaśniał Staś.

— Jedna pani, co już od roku przestała brać lekcje, była mamie winna dziesięć rubli i mama tyle razy chodziła nadarmo, i jeszcze raz poszła, ale teraz miała przynieść napewno.

— I czekaliśmy na mamę z herbatą i nie umieliśmy zapalić maszynki — objaśniała Basia.

— Ależ, Basiu, ja umiem zapalić; tylko...

— Tylko nafty nie było — uzupełniła siostrzyczka.

— I czekaliśmy długo, bardzo długo, i chcieliśmy już iść po mamę, ale baliśmy się z nią minąć i żeby się ona o nas nie bała, jak nas nie zastanie, a potem bramę zamknął stróż...

— I już nie można było wyjść, bo trzebaby dać stróżowi dyskę — wtrąciła Basia — i sami nie wiedzieliśmy, co zrobić: czy iść spać, czy jeszcze nie, i zaczęliśmy

okropnie płakać, a było ciemno; ja się bałam, a Staś był taki dobry i uspokajał mnie, ale choć po ciemku, to widziałam, że i on płacze.

— A jedliście wy dzisiaj cokolwiek? — zapytała pani Misia.

— Tak... Nie... — odpowiedziały równocześnie dzieci.

— Jako nie? — zapytał siostrę Staś.

— Tylko tę zimną kaszę, co od wczoraj została na dnie rondelka; ale to ja, a ty nic.

— Ja też jadłem — i chłopiec zarumienił się.

— Co? te dwa kawałki cukru z torebki? Nic więcej nie jadł, proszę pani — żywo zaręczała dziewczynka. — Mówił mi, że mam sama jeść, bo on nie głodny.

Chłopiec oczy spuścił, żeby lzy pod powiekami ukryć.

Pocziwej Lilci także łezki kręciły się w oczach, ale widząc zmieszanie Stasia, postarała się zmienić przedmiot rozmowy.

— Śliczne masz włoski, Basiu — rzekła, gładząc dziewczynkę po główce.

— Ty masz ładniejsze, takie długie war-kocze! — podziwiała Basia.

— Ale moje prawie białe, a twoje zupełnie złote, jak u aniołków; i tak się ślicznie kręcą.

— To mama ma takie śliczne, złote włosy, ale teraz nie widać — i dziecku znowu na płacz się zbierało, gdy wspomniała obandażowaną głowę swej mamy.

— Teraz dzieci pójdą do nas — zdecydowała pani Misia. — Zjemy razem obiad, zanocujecie u mnie, abyście się same zostać nie bały. Jutro pójdziemy do waszego mieszkania.

— I tu, do mamy — prosiły dzieci.

— Przyjdziecie do mamy, ale już płakać nie będziecie, bo to mamę bardzo męczy. Wiecie, że mama może być zdrowa, ale potrzeba jej wiele spokoju — tłumaczyła Irena.

— Ale mama nas wcale nie poznała — żaliła się Basia.

— Niewiadomo. Teraz nie może mówić, nie może się ruszać, ale za kilka dni, jak

będziecie spokojne i grzeczne, przywita was i będzie rozmawiała z wami.

— Za parę dni będzie leżała u mnie w pokoju — zawiadomiła Irena.

— Ach! jak to dobrze! — zawołali oboje.

Widok tej sali ogromnej, pełnej kalek, przeraził je. Mieli wrażenie, że matka ich leży na jakimś pobojuwisku, jak na publicznej drodze. Pokoik — to już prawie tak jak mieszkanie, a jeszcze przy tej milej, dobrej pani!

Spojrzały na nią z wdzięcznością, już ukojone, już ufne i prawie zadomowione wśród tej obcej dotąd rodziny.

Zabierano się do odejścia.

— Nie żegnajcie się z mamą, mama spi.

Istotnie Teresa nareszcie usnęła.

Misia z dziećmi szła naprzód. Irena z Bronką zatrzymywały się po drodze i coś jeszcze szeptem radziły. Zwolna schodziły po schodach, a gdy znalazły się na parterze, obie nieznacznie zapuściły wzrok w głąb oddziału męskiego. I tam dziś było tłumno

i gwarno. Przy drzwiach wejściowych spotkały się z matką Jerzego. Staruszka widocznie nic jeszcze nie wiedziała; miała twarz bardzo wypogodzoną.

— Ach! jak się cieszę — mówiła. — Jest mu dużo, dużo lepiej; zupełnie przytomny. Już wszystko na dobrej drodze.

— Na dobrej drodze — do czego? — powtórzyła Irena w duszy wczorajsze słowa Jerzego. — Biedna matko — pomyślała — ciesz się choć tą ostatnią chwilką złudzenia.

Pożegnawszy w progu swych gości, próbowała, mimo zastrzeżeń Szczygłowskiego, korzystając z ciżby, wsunąć się chyłkiem na korytarz, ale tuż u drzwi znanego jej pokoiku ujrzała znowu ową wstrętną, rudą głowę i cofnęła się ostrożnie.

— Jeżeli to jest istotnie chory — pomyślała — to jego miejsce jest raczej w pawilonie dla suchotników. Co on tu robi? Czemuż go wiecznie jak cień na mej drodze spotykam?

Teraz nie miała już co robić, ani gdzie iść. Obostrzony dla niej regulamin wzbraniał jej przechadzki po szpitalnym dzie-

dzińcu. Tak przynajmniej orzekła siostra Kasylda, może dlatego, by, nie mogąc usunąć moralnej zarazy, umiejscowić ją przynajmniej.

Ławkę przy oknie zajęła pani kolejarzowa, która nareszcie zdybała swego męża i, nie bacząc na rój obcych świadków, robiła mu głośną scenę małżeńską. Pan konduktor, wesoły facecyonista, wykręcał się dowcipkami i w tym lepszy wpadał humor, im bardziej pieniała się jego żona. Wkońcu i ona nie zdołała utrzymać się w tonie, wybuchnęła śmiechem i została rozbrojona. Pozwolenie na operację otrzymała — a jakże. Czemu nie ma się leczyć, kiedy to nic nie kosztuje? W domu obejdą się bez niej. Jest przecież ktoś, co ją pod każdym względem zastąpi.

— Kuzynka nie przyszła?

— A któż ci mówił, że jest w Warszawie? — odparł filuternie konduktor, gdy żona to drażliwe postawiła pytanie.

— Nie kręć, mów: jest, czy jej niema?

— Jak twego zdrowia pragnę, jak twego powrotu do domu pragnę, tak nie przyjechała.

Przez dziwną niekonsekwencję kolejarzowa, mimo wszystkie swe podejrzania, uznała to zakłęcie za wystarczające. Udobruchana, pospiesznie wypytywała małżonka o ploteczki z miasteczka, a ten, znając dobrze swą połowicę, opowiadał bez wytchnienia to, co było i czego nie było, naprzemian śmiejąc ją, podjudzając, wprowadzając w podziw, byle jej nie dać ochłonąć, sam szczerze rozbawiony własną fantazją i naiwną łatwowiernością swej Ksantypy.

I Ziółkowską odwiedził jej mąż i to w towarzystwie owej domniemanej »klempy«, cichej, prostej kobieciny, która jej półgłosem zdawała sprawę ze stanu gospodarstwa i interesów, uważnie wysłuchując życzeń i wskazówek, jak gdyby przyjmowała do wiadomości jej ustny testament z poważnem postanowieniem rzetelnego wypełnienia go co do joty.

Tak samo zachowywał się i pan Ziółkowski.

Była to jawnie, szczerze, poprostu rozmowa z umierającą. Żadnych niedomówień, dyskretnych przemilczeń, fałszywych i zdaw-

kowych pociech. Wszyscy troje dawno już wiedzieli, czym się to skończy i ze spokojną rezygnacją owego nieuniknionego końca czekali. Nie było w nich ani śladu pospolitego u biedaków zniecierpliwienia wobec długiej, rujnującej choroby, owego żądania zmiany: »albo na tę, albo na tę stronę«. Bóg dał jeszcze jeden dzień życia i jeszcze jeden tydzień, i dwa i więcej ponad wszelkie rachuby ludzkie — »niech się dzieje Jego wola!«

Tylko sama chora czasem skarżyła się nieśmiało na ten nadmiar darów Bożych, tak boleśnie dotkliwych. Dla niej były to dnie i tygodnie męki, udręczeń, czkawki, zgrzytania zębami, zbyt ciężka pokuta za grzechy, które ciężkimi być nie mogły, jeśli kobieta umiała wkoło siebie taki spokój rozsiewać i tak trwale budzić przywiązanie. Ten hart, ta prawa, rzetelna postawa wobec widma śmierci, odziewała prostych ludzi powagą i dostojnością, budzącem mimowolny szacunek.

Kończyły się godziny przyjęć, zmierzch się zbliżał, zakonnice krążyły wśród łóżek

i energicznie wypraszały gości, a posługaczki wniosły już wiadra z wodą, by zmyć posadzkę kamienną, zawałaną naniesioną przez setki nóg ziemią.

Wkońcu nawet wkoło Mandelbaumowej stało się pusto i cicho i Irena mogła wrócić na swoje legowisko.

Lampkę elektryczną postawiła na nocnym stoliku i pograżyła się w odczytywaniu, porządkowaniu i usuwaniu papierów, listów, notatek, wypełniających szufladkę.

Unikała rozmowy. Dziś było to jednak zbyt ciężkie. Wszystkie chore nagadały się do sytości, ponad siły, więc szybciej, niż innych dni, senne znużenie ogarniało całą ludność pawilonu.

Słabo brzmiał w sali monotonny głos odmawianych pacierzy i litanii, chwiejnym, mdłym tonem dźwięczały »Gorzkie żale« i »Wisi na krzyżu«. Szpital znów stawał się klasztorem.

Jak przewidywano, nie bez oporu zgodziła się siostra Kasylda przenieść panią Teresę na łóżko Mandelbaumowej. Przeznaczyła je ona dla innej chorej, i już właśnie

wczoraj, w porze wizyt, całą tę sprawę z nią omówiła i zdecydowała. Była to jakaś starsza dama z prowincyi, która — polegając na słowie zakonnicy — odrazu sprowadzała się do obranego przez siebie pokoiku, zanim dotychczasowa jego mieszkanka zdołała spakować swoje manatki, co czyniła wolno, niechętnie, jako osoba bardzo słaba, a rozżalona tem przedwczesnem usuwaniem jej z zajmowanego miejsca. Nowoprzybyła również była zirytowana, że odrazu rozpakować i zagospodarować się nie mogła. Żywo rozprawiała o tem po francusku do towarzyszki, która odprowadzała ją do szpitala. Obie liczyły widocznie, że w tem miejscu, stojącym tak znacznie poniżej ich towarzyskiej rangi, nikt ani słowa z języka salonów nie zrozumie.

Doskonale uświadamiały sobie, że światowa pozycja pacjentki wymagałaby odbycia operacyi w lecznicy prywatnej, ale kosztowałoby to ładnych kilkaset rubli, a tu zrobią to darmo też same znakomitości lekarskie, które tam przepłacać trzeba. Czyż nie lepiej użyć tych pieniędzy na jakąś po-

dróż do wód zagranicznych, bardzo pożądaną po odbyciu kuracyi ciężkiej, osłabiającej?

W Ozorkowie nikt nie potrzebuje wie-
dzieć, gdzie ją Dłutowski operował, a że on, nie kto inny, można opowiadać każdemu.

Wszystko obmyślane było bardzo praktycznie. Sprawę operacyi skombinowano i ze sprawą wielkanocnej spowiedzi. Zakonnice, dzięki swym stosunkom w kołach duchowieństwa, mogą jej na życzenie dostarczyć jakiego znakomitego spowiednika, na którego musiałaby godzinami czekać w zimnym kościele, naczcz, z oczywistą szkodą dla osłabionego zdrowia.

I ten pokój wcale wygodny, a siostra Kasylda zapewniała, że nikt ciężko chory przy niej umieszczonym nie zostanie, co jej oszczędzi denerwujących wrażeń.

Te głośnie plany, rozwijane w języku Bourgeta, przerwała i skrzyżowała interwencya Dłutowskiego, który jej oświadczył, że musi się przenieść na wielką salę, bo tu umieszczą inną pacjentkę.

— Ależ, panie doktorze, ja wczoraj już

zamówiłam to miejsce — protestowała dama z taką miną, jak gdyby za nie opłaciła suty zadatek.

— Tu nikt miejsc nie zamawia — odparł Dłutowski. — Rozmieszczamy chorych wedle naszego systemu.

— Panie doktorze — wtrąciła się siostra Kasylda, maskując spuszczonei powiekami zirytowane spojrzenie — to nie jest łóżko pani Grąbskiej, a przejechana jest jej pacjentką.

Chwytała się ścisłej formalistyki, by zająć dobrze obwarowaną ustalonymi normami pozycję.

Grąbska ze śmiechem rzuciła jej z głębi korytarza:

— Niech się siostra nie boi! Już my się pogodzimy. Nie pobijemy się z kolegą Dłutowskim o to łóżko. Odstępuję mu swoje przy ołtarzyku.

— Ja rzeczywiście obiecałam, panie doktorze — zaznaczyła półgłosem siostra Kasylda, zarumieniona z gniewu czy zmieszania.

— Szkoda, że bez porozumienia się

z nami — zauważył również przyciszonym, lecz stanowczym tonem Dłutowski i poszedł do sali operacyjnej, zamykając na tem dyskusję.

Tymczasem dama zdążyła się już po francusku porozumieć ze swą towarzyszką.

— *Qui veut la fin, veut les moyens* — szpital — to szpital; trzebaż jaką ofiarą oszczędność okupić.

Czuła zresztą, że od tej chwili siostrę mieć będzie całkowicie po swej stronie, w czym nie myliła się wcale i to nie tylko dlatego, że siostra Kasylda czuła się w obowiązku wynagrodzić jej doznany zawód, lecz że wogóle tego rodzaju pacjentki bardzo jej dogadzały.

Było rzeczą przyjętą, by chore, otrzymawszy bezpłatnie pomieszczenie, opiekę i pomoc lekarską, opuszczając szpital, w miarę możliwości składały do puszek drobne lub większe ofiary na potrzeby pawilonu, w którym się leczyły. Nie było tu oczywiście ani kontroli, ani przymusu. Znaczną większość pacjentek stanowiły nędzarki, raczej same potrzebujące wsparcia.

Która tylko jednak rozporządzała jakimiś własnymi pieniędzmi, uważała za punkt honoru nie uchylać się od tego zwyczaju. Mimo to puszka bywała chronicznie pusta, gdyż »dobrodziunie«, bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem służby szpitalnej wyjaśniały, że jedynie celowem jest składowanie pieniędzy na ich ręce.

— Po co to? — tłumaczyła z łagodnem politowaniem siostra Kasylda, gdy widziała, że ktoś z wypisanych do puszek się zbliża — to wszystko zabiera kancelarya.

Osoby zamożne, bogobojne, uznające w szarytkach jedyną prawowitą władzę szpitala — takie, słowem, jak świeżo przybyła, dawały jej najlepszą gwarancję hojnych i w pożądanym kierunku zwróconych datków.

Była to cicha konkurencja między szpitalem, jako naukowo-społeczną instytucją, i szpitalem-klasztorem.

Doktorzy, choć nieświadomi tego tajnego kłusownictwa w ich rewirze, krzywo patrzyli na pacjentki ze sfer uprzywilejowanych, zabierające miejsca, przeznaczone

dla nędzarek. To też złośliwie rozweseleni spoglądali na prowincjonalną elegantkę, gdy, szeleszcząc jedwabnemi podszewkami, szła na wielką salę. Drażnił ich nie tylko bezprawny wyzysk filantropii publicznej, lecz uszczerbek własnej kieszeni. Do pracy bezpłatnej przywykli i bynajmniej się na nią nie skarżyli. Praca w szpitalu, gdzie byli wolni od obowiązku schlebiania kaprysom, przesądom, od więzów zawodowej blagi, gdzie mogli zupełnie wedle swego widzenia rzeczy pokierować każdą kuracją i prowadzić naukowe obserwacje, sama przez się była im miłszą, niż praktyka prywatna.

Ale z czegoś przecież żyć trzeba.

Opinia, narzucająca lekarzom obowiązek bezinteresowności, obciąża ich bardzo wielkim na rzecz dobra publicznego podatkiem.

Poza szpitalem, poza ostateczną nędzą, ileż to istnieje kategorii pacjentów, od których honorarium brać nie wypada lub którym należy robić daleko idące ustępstwa: koledzy i ich rodziny, przyjaciele i krewni, biedne nauczycielki, ochroniarki, członkowie różnych związków samopomocy, którzy po-

magają sobie wzajemnie wyjednywać zbiorowo ulgi, jakich żaden z nich pojedynczo uzyskać nie mógł — i tak dalej, bez końca.

Skutkiem tego kupcy, finansisci, kamienicznicy, rentyerzy narzekają jednogłośnie na zdzierstwo lekarzy i znajdują sposoby uniknięcia ich wyzysku, często takie same, jak arystokratka z Ozorkowa.

Ci pacyenci, którzy z bezpłatnej ich pracy korzystają, nie nagradzają im tego na ogół ani rozgłosem, ani też należytem uznaniem. Albo nie wiedzą, że ta praca jest istotnie bezinteresowną, albo też w to nie wierzą.

— Moja pani, ktoby im się tam kazał darmo babrać w takich paskudztwach. To głupiemu powiedzieć — rezonował właśnie podstarzały chłop, któremu Irena nadaremnie wyjaśniała, że doktorzy nie dla własnej korzyści, lecz dla dobra jego żony zapisali ją do szpitala, gdy przyszła tylko po »poredę«.

— Tak mnie źle zgatunkował ten doktor w kancelaryi — żaliła się z płaczem

kobieta. — Ja chciałam jeno, żeby mi jaką maść zapisał, a on zaraz o operacyi gada, i kapać każe, i przebierać, i tu odprowadzić! Czy ja to mogę we Warsiawie siedzieć?

— A juści — dogadywał mąż — a kto mi ugotuje, kto krowę wydoi, świniaka nakarmi?

— A jak się żona na dobre położy? Jak — czego nie daj, Boże — zemrze, czy to wam lepiej będzie? — tłumaczyła Irena.

— Jak Bóg da, tak będzie — odparł filozoficznie i spojrzał na nią z podełbą, podejrzliwie.

Wyczytała z jego wzroku, że widział w niej naganiaczkę lekarzy, może płatną od sztuki za każdego zwierbowanego pacyenta.

Nie po raz pierwszy padało na nią takie podejrzenie, gdy starała się ciemnym ludziom otwierać oczy na potrzebę pomocy lekarskiej, na wartość zdrowia i znaczenie medycyny.

W tym wypadku zapalała się tem więcej, że drażnił ją egoizm starego, który widocznie zupełnie godził się z perspektywą

ewentualnego wdowieństwa, lecz nie chciał dopuścić myśli, by żona, póki żyje, choć na dzień jeden przestała mu się wysługiwać.

Wiedziała zresztą, że doktorzy istotnie pragnęli zatrzymać tę pacjentkę. Miała raka, umiejscowionego osobliwie, na zewnętrznej stronie uda, prawie pod skórą, doskonale nadającego się do pomyślnej operacji.

Chłop ani myślał ustąpić.

— Każdy na swoją stronę ciągnie, to wiadomo — wywodził z goryczą. — Doktorzy na swoją, ja na swoją. Im tylko, aby krajać i pieniądze brać.

— Pienędzy to nie biorą tutaj — wyjaśniała z miną rzeczoznawcy tuberkuliczna szwaczka, Stefka — to wszystko dla praktyki robią.

— Oj! to, to! — gderał dalej chłop. — Praktykują, praktykują i niejednego już spraktykowali.

Dawno już zauważyła Irena, że ten wyraz »praktyka« budzi w umysłach ciemnego ludu przesądny lęk i odrazę. Wedle ich

mniemania, albo doktor umie leczyć, to »praktykować« nie potrzebuje, albo nie umie, i wtedy niechybnie ludzi na tamten świat wyprawia.

— Jeszcze ci tylko tego brakowało, żeby się doctory na tobie uczyli. Jak taki — psia wiara — nic nie umie, to grzech go do chorych dopuszczać. Już bez ciebie do dom nie wrócę — i tyle.

Postanowienie było niezłomne i nie warto było go zwalczać.

Kobiecina musiała wrócić do garnków, do krowy, do świń, z zadatkiem śmierci w steranem pracą ciele. Może za kilka miesięcy umrze, a jej stary znajdzie sobie nową gospodynię, młodszą, zdrowszą, krzątającą się żwawiej.

Stefka była pod świeżem wrażeniem niespodziewanego spotkania i paliła ją ochota wygadania się do Ireny.

— Ja tę panią znam — mówiła o nowej chorej. — Przed dwoma laty, kiedy-żeśmy mieszkali w Ozorkowie, to ja jej nieraz suknie odnosiłam, a czasem to mi dawała do uszycia bluzki, do domu, niby na

nocną robotę, bo w dzień to szłam w pracowni. To był wielki sekret, bo stara gniewałaby się, że ja jej odbieram klientkę, a pani radczyni na tem oszczędzała, bo dawała mi po dwa złote za bluzkę ze wstawkami, a po czterdzieści groszy bez wstawek. Najwięcej dla niej pracowałam, kiedy do Ciechocinka jechała z dziećmi, bo mówiła, że tam się trzeba i po trzy razy na dzień przebierać, tak ciągle jedne przez drugich sadzą się, i jedne drugim zazdroszczą. Ona bardzo bogata, ale chytra. To właśnie na nią patrzy, żeby się w szpitalu leczyć, a potem będzie się chwaliła, jak to ją najlepsi doktorzy w Warszawie operowali. Chciała udawać, że mnie nie zna, ale ja na złość do niej: »Dzień dobry, pani radczyni, rączki całuję!« — bo ją tam wszyscy radczynią tytułują.

Na bluzkach pani radczyni i innej, równie złotodajnej pracy dorobiła się dziewiętnastoletnia Stefka suchot. Tutaj, w szpitalu, mimo marnego wikt, zaczęła przybierać tuszy i kolorów, a i rana pod pachą goiła się powoli, lecz stale. Gdy będzie zu-

pełnie zagojoną, wróci Stefka do swego 16-godzinnego dnia roboczego w sezonie, do głodu i bezrobocia w czasie ogórkowym, a za parę lat będzie znów miał w niej szpital gotową pacjentkę.

Wspaniała instytucja! Filtr, przez który przelewa się cała rzeka nędzy, pozostawiając gęsty czad zarazków, brudu, ropy, robactwa i, oczyszczona, płynie dalej i znowu nasiąka wyziewami i zgnilizną podziemi społecznych, wraca — i tak w kółko, w kółko — bez końca.

Zawsze i wszędzie ta sama bezsilność wobec istniejącego zła.

Irena patrzyła teraz na grupę doktorów, którzy z promieniącymi twarzami wyszli ze sali operacyjnej po dokonaniu jakiegoś mistrzowskiego cięcia, i jeszcze na korytarzu prowadzili żywą rozmowę o świeżo przeżytych obserwacjach i wrażeniach.

— Czyżby oni nie czuli, jak jałową i bezowocną jest ta cała ich robota? Czyżby nie rozumieli, że co najmniej dziewięciu na dziesięć chorych przynosi im tutaj systematycznie wypiełgnowany wykwit swego ży-

cia, jego nieuchronną konieczność w postaci choroby, której tylko wtedy uniknąć można i tylko wtedy uleczyć, gdy usunie się warunki, co ją wyhodowały?

— Niech kolega żałuje, że nie korzystał z mego zaproszenia — mówił tymczasem Dłutowski do odchodzącego szybkim krokiem Łzawickiego.

— A cóż tam takiego było?

— Prześliczny okaz! — i wymienił jakąś łacińską nazwę, na dźwięk której Łzawicki natychmiast stanął i, zapominając już o poprzednim swym pośpiechu, skwapliwie o szczegóły wypytywać zaczął.

— Ach! więc o to chodzi im przede wszystkim! Pole badań i obserwacji; interes naukowy, praktyka!

To właśnie, czego nie pojęła para chłopka, czego żadna nieoświecona głowa nie zrozumie.

— Może to wszystko jest w zupełnym porządku — myślała dalej. — Dziś człowiek wysila się na to, by wiedzieć, kiedyś dojdzie do tego, by módz.

Chłodne i czyste rozkosze naukowych

badani i zdobyczy tak samo koją i łagodzą jątrzące wrażenie cierpień i niedoli, jak pobożne praktyki i modły, któremi siostry miłosierdzia uciszają i kołyszają jęczące na łóżach szpitalnych kaleki. I tu i tam człowiek pogrąża się w wielkiem zagadnieniu życia i śmierci. Tu zgłębia je — tam narzuca mu gotowe rozwiązanie; tu otwiera mu przed okiem myśli bezgraniczne widnokreśli — tam przysłania je zasłoną uświęconej tajemnicy; tu toruje drogę do czynu — tam zawijają się w płaszcz pokornej rezygnacji.

Dziś Irena nie mogła jeszcze stanąć ani na jednym, ani na drugim z tych wzniesionych ponad bolesną aktualność posterunków. Umiała jednak wyczuć i w pewnej mierze odtworzyć sobie punkt widzenia lekarzy. Nastroj zakonnic był jej zupełnie obcym.

Zakonnice odczuwały tę obcość w duszy Ireny i to je od niej odpychało.

Siostra Małgorzata, młodsza, wrażliwsza, posiadająca więcej wykształcenia, a mniej klasztornej skostniałości, żywiła może na dnie serca trochę starannie tajonej sympatii dla tej zbłąkanej, ale godnej lepszego

losu istoty. Dla Kasyldy była Irena wyłącznie tylko szkodliwą i wielce niebezpieczną jednostką, parszywą owcą o niewinnych i złudnie szlachetnych pozorach.

Irena nawzajem widziała w starszej zakonnicy typowe wcielenie tych czynników bierności i bezwładu, które wydawały jej się najtrudniejszą do zwalczenia zaporą na ciężkiej drodze ku wyżynom.

Widziała w niej uosobione przeczenie życia, kult bólu, ubóstwienie nędzy, choroby, śmierci — istny kodeks nieboszczyków, narzucony żywym.

Wiało od niej chłodem i pleśnią kościelnych podziemi. Czysto teoretycznie szanowała w niej jednak niezaprzeczoną ideowość i prostolinijną konsekwencyę w myśli i czynie. Nie mogła wątpić, że wszystko, co czyniła, nawet rygor i posty, narzucane służbie szpitalnej, nawet wybieranie ofiar od zamożniejszych pacjentek — miało na celu zbawienie dusz, chwałę Bożą i pomyślny rozwój Zgromadzenia św. Wincentego à Paulo.

To też bynajmniej nie była zdziwiona, ani zaskoczona, gdy Kasylda wobec zbliża-

jących się Świąt przysła ją namawiać do wielkanocnej spowiedzi. Zakonnica najwidoczniej czyniła to niechętnie, pod wewnętrzny przymusem, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia. Uchylenie się od aktów pobożności, stanowiących dla niej najwyższą rozkosz życia, poczytywała za coś tak przeciwnego naturze, za taką — odrażającą — monstrualność, że trudno jej było znaleźć rozumowane argumenty dla jej zwalczenia. Wogóle jasną było rzeczą, że te dwie kobiety mówią zupełnie innym językiem i nigdy do porozumienia nie dojdą.

Póki jeszcze zakonnica z konwencyonalną uprzejmością tłumaczyła się ze swego kroku, z natrętnego wkraczania w osobiste sprawy obcej osoby, uzasadniając to nakazem sumienia, powołaniem swoim i obowiązkiem czuwania nad religijnem życiem szpitala, wszystko było jasne i proste.

— Rozumiem i uznaję zupełnie pobudki siostry — odpowiedziała jej z równie poprawną uprzejmością. — Siostra działa zgodnie ze swoim przekonaniem, to też zrozumie zapewne, dlaczego i ja ze swoim

chcę w zgodzie pozostać. Nawet z punktu widzenia siostry moja spowiedź nie byłaby tem, o co tu chodzi; nie aktem szczerej wiary, raczej grzechem świętokradzkiej obłudy. Dlatego też spowiadać się nie mogę, a i ty, siostró, spełniwszy swą powinność, namawiać mnie przestaniesz.

— Byłoby jednak lepiej, bezpieczniej, tak uporczywie przy swoich przekonaniach nie obstawać. Nikt z nas nie wie, co go dziś jeszcze spotkać może. Pani ufa w to, że młoda i zdrowa, nie myśli o śmierci i o sądzie Bożym. Ale widząc, co się tu wkoło dzieje, ile młodszych od niej choruje i umiera, powinnyby i o duszy pomyśleć, ażeby potem nie było zapóźno.

— O śmierci myślę nieustannie; tu — w szpitalu, trudno o niej zapomnieć. O duszy?! Tak jest, siostró Kasyldo, myślę o duszy; ciągle tylko o tem, chociaż trochę inaczej, niż siostra.

Nietylko inaczej, ale o czem innem myślały, wymawiając te same słowa.

Wyraz: »dusza« miał dla każdej z nich zupełnie inne znaczenie.

Wedle zakonnicy naprzykład, pouczanie ludzi ciemnych, wykorzenianie ich przesądów, zaszczepianie im wyższych umysłowych i moralnych potrzeb, nie dowodziło troski o duszę; natomiast posty zaliczała do ściśle duchowych zabiegów.

— Moja słaba wymowa — mówiła jeszcze Kasylda z urzędową pokorą — nie starczy na przekonywanie osoby z takim wykształceniem. Nie ustąpiłabym tak łatwo, gdyby pani była śmiertelnie chora. Może jeszcze kiedy Bóg łaskawy ześle pani takie ostrzeżenie i sam do niej przemówi znakami swej potęgi. Tymczasem jednak proszę panią, by nie odmówiła mej prośbie — dwom prośbom — poprawiła.

— Słucham siostrę; po pierwsze?

— Po pierwsze, żeby pani przyjęła ode mnie na pamiątkę medalionik.

— Na pamiątkę? — uśmiechnęła się jak do dziecka. — Dobrze, siostró; miło mi będzie mieć od was pamiątkę.

— Po drugie, żeby pani zechciała porozmawiać z naszym księdzem, gdy jej wizytę złoży. Nie taję; chciałabym, aby on

panią przekonał. Cóż to pani szkodzi? Mówi pani z tylu ludźmi, o tylu różnych rzeczach, może mniej ważnych, może nie zawsze także miłych i ciekawych — nalegała.

— Oczywiście; jeśli ksiądz zechce przyjść do mnie, będę z nim też o różnych rzeczach rozmawiać cierpliwie i grzecznie. Nie mam powodu go nie przyjmować.

Na twarzy zakonnicy odmalowało się dyskretnie maskowane uczucie ulgi i tryumfu. Po chwili przyszła z medalikiem i bez wszelkich wstępnych pertraktacji zawiesiła go od razu na szyi obdarowanej, odmawiając jakąś krótką modlitwę.

Teraz Irena zrozumiała!

To nie miała być zwykła pamiątka, lecz czarodziejski talizman. Medalik miał się okazać potężniejszym, niż wymowa pokornej szarytki.

Było coś rozczulająco naiwnego w tej prostej wierze, ale jakżesz grubą wydała się na Irenie!

Straż nad duszą zbłąkaną zdała tedy zakonnica tymczasowo na ten blaszany

obrazek na jedwabnym sznurku, i to ją uspokoiło.

O wiele miłsza rozmowa czekała ją na wielkiej sali.

Miedzy tak różnymi osobnikami, jak ona i pani radczyni, wytworzyło się jednak od razu bardzo jasne i zgodne porozumienie w kwestiach duchowych.

Dygnitarka z Ozorkowa była także tego zdania, że operację, czyli zabiegi o ciało, musi poprzedzić sprawa ważniejsza: zabezpieczenie duszy. Stanowczo utrzymywała jednak, że jej dusza wymaga specjalnie umiejętnego traktowania i nie można jej powierzyć pierwszemu lepszemu ze sług Bożych. Umyśliła sobie już poprzednio, że domagać się będzie jako spowiednika księdza Larjona, o którego spowiedziach i francuskich kazaniach u Wizytek cuda jej opowiadała jakaś *mademoiselle Jeanette*, krzewiąca paryski akcent i paryską kulturę w Ozorkowie. Mówiono, że wszystkie damy z arystokracji u niego się spowiadają.

Krążyły też pogłoski, że on ma być je-

dnym z Jezuitów, wygnanych przez bezbożny rząd trzeciej republiki.

Będąc po matce polskiego pochodzenia, władał pono polskim językiem równie poprawnie, jak dziesięciu innym, którymi posługiwać się musiał, odbywając misye po różnych krajach, wszystkich części świata.

Dawno marzyła o poznaniu tego księdza Larjona, a teraz zawzięła się, by nie ustąpić i sprowadzić go do swego łóża boleści.

— To mój stały spowiednik, wielbna siostró; przyjeżdżam umyślnie kilka razy w roku do Warszawy tylko na to, by się u niego spowiadać.

Kłamała, jak z nut, nic nie bacząc, że listę grzechów, za które jej przyjdzie pokutować, zwiększa o nową pozycję. Jeden mniej, jeden więcej! Cóż to znaczy? I tak przecież wszystkie będą zmasane!

Kasylda wołałaby tym razem pobożność, zamkniętą w skromniejszych trochę granicach. Zwerbowanie do szpitala takiej znakomitości duchownej przedstawiało pewną trudność i było rzeczą niepraktykowaną,

choć i ona sama rada byłaby, gdyby Ojciec Larjon zaszczylił swą obecnością jej pawilon.

Zwykle duszpasterstwo w szpitalu Cierniowej Korony pełnił kapelan o bardzo ci chem nazwisku i umiarkowanych pretensjach, gdyż posada ta nie była bynajmniej synekurą.

Pobożne szarytki nie dawały ani na chwilę wytchnąć swemu księdzu, pilnując, aby nikt z tysiąca kilkuset stałych i przygodnych mieszkańców zakładu nie był pozbawiony religijnej opieki, aby zwłaszcza każdy lżej czy ciężej chory doznał duchownej kuracyi i pielęgnacyi, co najmniej w równym stopniu, jak fizycznej.

Niema co mówić o służbie szpitalnej, którą obowiązywała w tym względzie prawie zakonna reguła.

To też biedny kapelan w dzień i noc musiał być na usługi swej licznej owczarni, ganiać z pawilonu do pawilonu z szafunkiem łask niebieskich, bez żadnych widoków korzyści ziemskich dla siebie, boć i z jego strony, tak samo, jak i ze strony

doktorów, była ta robota filantropijna, nie dająca ani zysku, ani rozgłosu.

Ślubów nie dawał, pogrzeby szpitalnych nędzarzy odbywały się bez kosztów, zakupywane msze zdarzały się rzadko.

Ksiądz Kryska byłby oczywiście bardzo rad, gdyby konfratrzy z miasta przychodzili go czasem wyręczać, ale amatorów nie było.

Natomiast dość często znamienitsi duchowni zwiedzali szpital, przyjmowani, ugaszczani i oprowadzani przez zachwycone takimi odwiedzinami szarytki.

W tym charakterze zjawiał się tam czasem i Ojciec Larjon, będący pośrednio dobrodziejem zakładu.

Ponieważ miał specjalny talent wydnywania od bogatych penitentów na łożu śmierci zapisów na filantropijne i pobożne cele, kilka takich sutych legatów dostało się i szpitalowi Cierniowej Korony, póki on nosił cechy instytucji dobroczynnej, wyznaniowej.

Gdy na równi z innymi szpitalami przeszedł pod zarząd miasta, siostry postarały

się o zapewnienie, że przyszłe zapisy ominą tę świecką instancję i wprost na ręce zakonnego zgromadzenia wpływać będą. W tym interesie właśnie niedawno chodziła siostra Kasylda, w asystencyi siostry starszej, do słynnego kaznodziei i mogła liczyć, że ją ma świeżo w pamięci. Byłaby woląla jednak znajomość tę wykorzystać dla ważniejszej sprawy, niż wielkanocna spowiedź pani radczyni.

Próbowała wyminąć tę trudność.

— Kiedy pani tak dobrze zna Ojca Larjona, to może napisze do niego osobiście, a my list doręczymy.

Radczyni zmieszała się lekko.

— Czyż ja sobie mogę pochlebiać, siostro, by mnie ksiądz prałat tak dobrze pamiętał, on, który ma tyle penitente! Znam go tylko z konfesynału.

— W takim razie pomówię z siostrą starszą i z naszym kapelanem; może skłoni my księdza prałata, by przyszedł — rzekła Kasylda po chwili namysłu.

Nie chciała radczyni zrażać odmową po doznanym przez nią na wstępie zawodzie;

wśród rozmowy zaś przyszedł jej pomysł połączenia tej sprawy z kwestyą nawrócenia Ireny.

Ojciec Larjon z wielkim zapalem i poświęceniem oddawał się tępieniu wszelkich herezy, niedowiarstwa i bezwyznaniowości, a jeśli w zwalczaniu maryawityzmu, socyalizmu i zaraniarstwa w warstwach ludowych dorównywało mu w zasługach wielu żarliwych a mniej uczonych konfratrów, nikt nie mógł się z nim mierzyć talentem nawracania inteligencji. Była to jego specjalność, jego ulubiona misya; był w tym kierunku jedynym.

Chodziło tylko o to, by mu przedstawić wielkie niebezpieczeństwo, grożące duszom ze strony Ireny, jej popularność wśród służby szpitalnej, zaufanie, jakim ją darzyli chorzy — co gorsza — pewien moralny urok, wywierany nawet na niektóre zakonnice.

Miała tu na myśli siostrę Małgorzatę, gdyż pochwyciła kilka razy słodkie, życzyliwe spojrzenie jej chabrowych oczu, zwró-

cone do tej niebezpiecznej mieszkanki pawilonu.

Korciło ją to także bardzo, że przy jej rozmowie z Ireną obecną była pani Teresa, zbyt słaba, by ją można było na tę chwilę pod jakimkolwiek pozorem z pokoiku usunąć, a tak świeżo dopiero z grzechów oczyszczona!!

Wprawdzie nie było rzeczą pewną, czy i o ile się treścią tej rozmowy zainteresowała, ani też, w jaki sposób ją przyjęła, gdyż dotąd jeszcze nie otrząsnęła się z poprzedniej apaty i zachowywała wobec zakonnic i służby zupełne milczenie.

Natomiast zachodziła obawa, że doznawana stale ze strony najbliższej sąsiadki troskliwa opieka uczyni ją bardzo podatną na jej zgubny wpływ, a zgorzenie tą drogą najpewniej szerzyć się zacznie.

Nie było jednak rady; stanowczy opór doktorów naraził tę nieszczęśliwą duszę na zatracenie.

Istotnie między obu kobietami zawiązywał się coraz bliższy, coraz serdeczniejszy stosunek.

Dla Ireny w jej obecnych moralnych udęczeniach było poprostu zbawieniem, że miała obok siebie istotę, która nieustannie potrzebowała jej usług i dawała jej błogie wewnętrzne przeświadczenie, iż dzień jej wypełniony jest niewątpliwie użytecznymi czynnościami.

Jakąkolwiek jest wartość życia, czynów ludzkich, prawd, wyznawanych i czczonych przez człowieka — każda ulga w cierpieniu jest zawsze zmniejszeniem zła, obiektywnym dobrem.

Nakarmić, umyć, podźwignąć i poprawić na łóżku człowieka, nie mogącego się ruszyć o własnych siłach — to gest bardzo prosty, drobny, prawie bez znaczenia, ale oszczędza choremu całego szeregu udęczeń.

Pieczołowitość Ireny zabarwiona była odcieniem dyskretniej pieśczoły.

Z subtelną intuicyją, wyczuwając nastrój chorej, usiłowała otoczyć ją szeregiem kojących wrażeń.

Szczelnie zamkniętymi drzwiami odgradzała ją od jęków, zasłaniała kalectwa,

przez otwarte okno wpuszczała wiosenne powiewy i ciepłe promienie słońca; zawsze świeży bukiet kwiatków stawiała obok jej łóżka, przeistaczała pokój szpitalny w jakiś zaciszny kącik, tchnący atmosferą życia rodzinnego.

Potęgowało się to wrażenie w godzinach, gdy przychodziły dzieci.

Z łatwością uzyskano dla nich przywilej codziennego odwiedzania matki, o który bardzo gorąco się dopominały. Choć miały wrażenie, że chora nie poznaje ich wcale, choć bolesnym był dla nich widok tej ukochanej, a tak bardzo zeszpeconej postaci, i z trudnością powstrzymywały łzy, witając ją, za nic nie rzekłyby się tych kilku godzin, spędzanych przy jej łóżku. Było to jedyne dziś miejsce na świecie, które nie z łaski, lecz z prawa im się należało, gdzie były zupełnie u siebie, a ta biedna kaleka jedyną istotą ich własną, niepodzielną z niemi na dolę i niedolę życia połączoną. Gdyby ich tam nie było, choćby jej nawet na niczem nie zbywało, znaczyłoby to, że jest sama, opuszczona, że nie ma już nikogo bliz-

kiego, coby się o nią troszczył. Nie mogli nic dla niej zrobić, ale mogły na nią patrzeć, usłużyć jej czasem, ucieszyć się każdym objawem polepszenia, niepokoić się i wypytywać o przebieg kuracyi.

Była to przedwczesna zamiana ról, a pod wpływem tej zmiany dzieci bardzo szybko dojrzewały moralnie.

Teraz mamusia ich była niedołężnem, słabem niemowlęciem, potrzebującym opieki, łagodnej perswazyi, kojącej pieśszczoty.

Widok dzieci, który pierwszego dnia ją przeraził, następnych zasmucał, wzruszał, rozrzewniał, wkońcu stał się dla niej jakąś cichą ucztą duchową. Całowała je spojrzeniem i uśmiechem; czasem jak gdyby przepraszała wzrokiem, potem szeptem wymawiała ich imiona, odpowiadała zcicha na ich pytania, lecz sama nie pytała o nic.

Irena domyśliła się, dlaczego.

Bała się poprostu dowiedzieć rzeczy smutnych, bolesnych, upokarzających, które były tak niechybne, że wiedzieć je mogła bez pytania.

Bała się myśleć o nich. Że dzieci po-

zostały bez dachu i bez chleba — to jasne.

Ponieważ żyły, ponieważ z dnia na dzień coraz lepiej wyglądały, a były ubrane starannie, dostatniej nawet, niż dawniej, więc oczywiście ktoś im łaskę świadczył. Ktoś obcy dał im jako jałmużnę to, czego ona przez całkowite oddanie się, zaofiarowanie dla nich każdego tchnienia, każdego momentu swego życia, wszystkich sił swoich, dostarczyć im jednak nie mogła.

Irena bardzo szybko dostrzegła, że martwa apatya pani Teresy była raczej wynikiem moralnego wyczerpania, niż choroby. Wprawdzie złamany obojczyk i noga skazywały ją na nieruchomość, lecz jej kamienne milczenie i osłupienie pierwotne było porażeniem woli raczej, wyrazem jakiegoś bezmiernego lęku, własnowolnem pograżaniem się w bezruch i milczenie, ucieczką do nicości.

Powoli budziła się, ożywiała, zaczęła patrzeć i słuchać. Czasami rysowało się na jej twarzy miłe rozmarzenie, jak gdyby przeżywała cichy, błogi sen. Czasem zamy-

ślala się smutno; czasem pod wrażeniem szczebiotu dzieci wesoły uśmiech zjawiał się przelotnie na jej ustach.

Chcąc jej oszczędzić wysiłku, Irena i Lilcia zabawiały Stasia i Basię rozmową, w ten sposób nią kierując, by matka mogła z jej treści jak najwięcej o swych dzieciach dowiedzieć się miłych i pocieszających rzeczy.

Była tedy mowa o tem, że teraz już oboje systematycznie się uczą i mają na kilka lat zapewnioną edukację w szkole koedukacyjnej, której kierowniczką była Bronka.

U Basi odkryto niezwykłą muzykalność i była wszelka nadzieja, że znajdą się środki na rozwinięcie tego talentu w przyszłości.

Chłopiec zaś zdradzał pewne techniczne i matematyczne uzdolnienia, bardzo obiecujące i bardzo chętnie popierane w społeczeństwie, cierpiącym na brak zdolnych pracowników w zawodach praktycznych.

Z całego toku rozmów wynikało, że dzieci zjednały sobie oprócz współczucia dla swego losu serdeczną sympatyę dla

swych osobistych zalet, że znajdują się nie tylko wśród dobrych ludzi, lecz w gronie przyjaciół — i że jest im dobrze.

Przez rozmowy, toczone się przy jej łóżku, przez całodziennie obcowanie z osobą, wkoło której skupiało się to grono — pani Teresa została w nie biernie mimowoli wcielona.

Pomyślnie postępująca kuracya kazała się z tem liczyć, że obecny stan rzeczy nie był ani normalnym, ani trwałym. W miarę przybytku sił chora ożywiała się, coraz większy brała udział w rozmowie, lecz zarazem okazywała wzmagający się stopniowo niepokój i podniecenie.

Pewnego dnia, w jakąś godzinę po odejściu dzieci, w czasie, gdy na sali odmawiano modlitwy, przerwała długie milczenie i znienacka zagadnęła Irenę:

— Po co wy mnie leczycie, pielęgnujecie, do życia przywracacie? Po co? Co ja z tem życiem i zdrowiem pocznę? Lepiej było mnie tak zostawić!

Zaskoczona tem niespodzianem pytaniem, na razie nie zdobyła się na odpowiedź, a za-

ledwie coś bąknęła o dzieciach, chora zaczęła mówić dalej, gorączkowo podniecona, jak gdyby przez długie dnie milczenia nagromadziła nadmierny ciężar myśli niewypowiedzianych, które teraz zrzucić musiała z siebie:

— Przecież ja jestem zupełnie, ale to zupełnie niepotrzebna. Przeczuwałam to dawniej, a teraz wiem. Wtenczas, kiedy tam leżałam na sali, w mroku, przy mnie kwiaty, światło, śpiewy (ach! jak te baby okropnie fałszowały!) — to ja myślałam, że jestem

kościelne, na katafalku. I potem takie mnóstwo obcych ludzi wkoło mnie, to jakby mój pogrzeb. Tak było dobrze — już po wszystkim; na tem powinno się było skończyć. Nie zastanawiałam się, że człowiek własnego pogrzebu nie widzi. Byłam taka słaba!

Odpoczęła chwilę i mówiła dalej.

— Potem — zobaczyłam dzieci. To było straszne, jak widmo popełnionej zbrodni. Biedne, takie splakane, takie blade! Wiedziałam, że one zostaną bezdomne, na nędzę, ponieważ, hańbę może, ale miałam

nadzieję, że ja tego widzieć nie będę, ani czuć, ani wiedzieć. Przecież śmierć powinna zwalniać od tego wszystkiego. Cóżby to był za »wieczny odpoczynek«, gdyby ciągle myśleć i cierpieć trzeba? Lepiej było — wszyscy troje, razem, pod tramwaj, czy inaczej! Tak robią niektórzy. Ja nie miałam odwagi!! — A potem te dwie twarzyczki biedne! Dwa straszne wyrzuty sumienia!

Irena szeroko otworzyła oczy, dreszcz ją przeszedł.

— Więc to tak?! To był zamach samobójczy, zamaskowany ulicznym wypadkiem! Fakt, przemyślany i uplanowany dokładnie, a bynajmniej nie nieprzewidziana katastrofa.

Może jeszcze kilka lat temu zgorszyłaby ją ta matka, tak tchórzliwie porzucająca dzieci na pastwę losu. Teraz, gdy oczy i serce piły nieustannie gorycz i jad życia, nic już jej oburzać, ani zdumiewać nie mogło, nawet to, że zbrodnią w sumieniu Teresy była nie próba samobójstwa, lecz pozostawienie dzieci przy życiu.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, rzekła:

— A teraz pani widzi, że wszystko jest inaczej i znacznie lepiej, niż myślała. Dzieciom nie grozi ani nędza, ani poniewierka. Są spokojne, zdrowe, nawet wesołe. Pani żyje; siły wrócą, i wszystko, wszystko odzyskać można na nowo — prócz życia.

— Tak, widzę; wszystko jest inaczej; jest lepiej, niż myślałam. Ja mogę być naprawdę zupełnie zbyteczna i z czystym sumieniem odejść. Dzieciom przy mnie tak dobrze nie było. Nie były tak syte, tak dobrze odziane; nie mogły się tak kształcić, jak teraz, a wszystko dlatego, że mnie nie mają, że ja przestałam dla nich żyć; poświęcać się, jak mówiono o mnie. Jakie to było głupie określenie!

— Ludzie są znacznie lepsi, niż mówią. Dla wielkiego nieszczęścia zawsze znajduje się pomoc i współczucie. Naprzykład, kiedy dzieci na bruku, bez ojca i matki, a jeszcze po tragicznym wypadku, rozgłoszonym w piśmie. Tylko te nieszczęścia, które człowiek w sobie nosi, hoduje starannie, sam na siebie sprowadza, które za nim jak cień chodzą — nie ma na nie rady. Gdy ktoś na-

przykład weźmie ciężar nad siły i upiera się dźwigać go — i tak sobie życie urządza, że ono jest bez sensu, bez związku, i gdy nie umie ponosić następstw i chce żyć po swojemu.

— Moje życie — było całe takie nie-logiczne.

— Najpierw kochałam sztukę, marzyłam o sławie... Zaczęło się bardzo dobrze. Dziś to może śmieszne, że ja pani o tem mówię. Nie mam się czem chwalić, ale miałam okłaski, świetne recenzje.

— Słyszałam o tem; wspomniano mi o tryumfach pani zagranicą. Zapowiadano pani świetną przyszłość.

— Tak; to było przed laty, w Wiedniu. Miałam talent, młodość, urodę.

— Stała pani u progu wielkiej artystycznej karyery.

— A w tym progu weszła mi w drogę miłość. Ja myślałam, że jedno z drugim pogodzę: szczęście rodzinne, sztukę, sławę, bogactwo. To nie można, proszę pani, nie można. Chyba, że się serce ulokuje na dobry procent. Z sali koncertowej prosto do

hrabiowskiego pałacu lub bankierskiej kamienicy. Ja pokochałam biednego, uczciwego człowieka.

— Poznała pani pana Carpi w Wiedniu? W tej samej epoce?

— Tak; on dla mnie porzucił swój kraj, swoją karierę. Pokochał moją ojczyznę, postarał się o posadę w konsulacie austriackim. Mieliliśmy żyć szczęśliwie, z pracy — ale to krótko trwało. Mąż nie znosił klimatu; zachorował na suchoty. Miałam na sumieniu jego zdrowie i życie. Ratowałam je rozpaczliwie. Dzieci zostawiłam w kraju, przy dalszych krewnych, a jeździłam z nim. Grałam, występowałam i równocześnie pielęgnowałam go. Umarł w Montreux. Ja tego wieczora grałam w Genewie. Za powrotem, zastałam go w ostatnich drgawkach konania. Nie miałam nawet czasu zdjąć ze siebie białej, jedwabnej sukni, w której występowałam publicznie. Bukiet białych bzów i konwalii (widzę go dziś jeszcze) porzuciłam na jego pościeli. Umarł na moich rękach... Nigdy nie zapomnę tej ciepłej, wiosennej nocy! Z sali, przepełnionej oklaskującą mnie

publicznością, jarzącej się światłem elektrycznym, wyrwałam się, gnana niepokojem, i spieszyłam do niego, do mego najdroższego, dogorywającego Łazarza. Wiozłam mu pieniądze na dalszą walkę z chorobą i śmiercią. Przez otwarte okna od gór płynęły czyste fale powietrza, i wydawały się samem tchnieniem życia. Tuliłam ukochaną, wychudzoną głowę; szeptałam jej do ucha takie gorące zaklęcia i pieszczoty, że mogłyby chyba nie tylko leczyć, lecz wskrzeszać. — Ale on już nie słyszał, nie oddychał, serce, to szlachetne, to moje, to kochające serce już ustało. Kwiaty więdły; błady świt rzucał białawe światło na pokój, na łóżko, na tego zastygłego w moich rękach trupa. Byłam sama, na obczyźnie. Ten, dla którego żyłam, już nie istniał. Zostały mi dzieci. Rwałam się do tych sierot moich, dalekich. Chciałam im i sobie wynagrodzić dawniejszą rozłąkę. Wszyscy mówili mi: zostaw je, gdzie są, a sama włócz się dalej, po świecie. Im będzie lepiej i tobie. Biorąc rzeczy pod kredkę, była w tem pewna racja. Zarobiłabym więcej,

może miałyby wszystko, czego im było potrzeba. Nie miałyby tylko matki, ani ja dzieci. Nie miałabym nikogo. One nie byłyby moje. Cudzy dom byłby im domem, inna kobieta — matką. Nie mogłam się tak dobrowolnie osierocić i wydziedziczyć. Może to był egoizm, może sentymentalizm; zarzucano mi jedno i drugie. Obrzydła mi artystyczna karyera, publiczność, oklaski. — Wszystko to przecież dotąd odrywało mnie wciąż od tego łóżka, na którym zamierało moje marzenie o cichem szczęściu. Tak krótko żyliśmy ze sobą, a wśród tego ileż godzin, ile dni strwonionych wśród obcych i obojętnych ludzi! Kiedy leżałam tam, na moim katafalku, w pewnej chwili usłyszałam tuż nad uchem wyraz: »Teresito!« Zdawało mi się wtedy, że to głos mego Leonarda mnie wzywa już tam z poza grobu, że może właśnie teraz zacznie się dla mnie jakieś wymarzone szczęście wiekuiste. Nie; chwil straconych nigdy powetować nie można; żadna wieczność ich nie wróci. Nie chciałam, by to się powtórzyło z dziećmi. Wolałam obniżyć swoje wyma-

gania; dla siebie i dla nich rzec się dostatku; mieć tylko zaciszne gniazdko dla mych piskląt, tu, w kraju, wśród swoich, pracę, spokój, przywiązanie.

— I to wszystko było. Pamiętam, gdy chodziłam do pani na lekcye, byłam zawsze pod urokiem tego ciepłego, jasnego, rodzinnego ogniska. Dotąd stoi mi przed oczami ta wizya cichego szczęścia.

— Tak, ale to trwać nie mogło. Człowiek się zużywa. Wtedy trzymał mnie jeszcze na powierzchni odbłask mego krótkotrwałego zagranicznego rozgłosu.

— W Warszawie grywała pani również często; bardzo często na dobroczynne cele.

— O! tak! Kto dużo występuje bezpłatnie, traci szansę zapełnienia sali na własnym koncercie. Już się osłuchał, powszedniał!

— Karotowano panią?

— Alboż ja wiem?! Gdyby nie te występy, nie miałabym może dobrze płatnych lekcji. Przynajmniej od chwili, gdy zaczęłam odmawiać zaproszeniom, bo — co prawda — nie miałam skąd brać na stroje

koncertowe, gdy zniszczyłam dawniejsze — proponowano mi coraz tańsze lekcye.

— Ale było ich jeszcze dużo.

— Och! nie; coraz mniej. Może nietylko dla mnie. Moda fortepianowa minęła. Wynaleziono przecież gramofony! Potem były świeże talenty, młodsze sławy, a i te nie żyły w dostatkach. Filharmonia zbankrutowała, a jedna biedna nauczycielka muzyki miała uniknąć nędzy!! Musiałam sprzedać fortepian na zapłacenie długów i komornego. To była straszna chwila. Lekcye w domu były odtąd wykluczone; na mieście coraz rzadsze i tańsze. Wkońcu — gdy już nie było zupełnie z czego żyć (chorej wystąpiły wypieki na twarzy) — najmowałam się do grania na tańczących wieczorach. Tak minął ostatni karnawał. Boże! jak ja się wstydziłam! Odbierałam chleb niewidomym. Bałam się spotkać dawnych znajomych. Na szczęście uniknęłam tego. Może nie byliby mnie poznali.

— Pani Tereso, niech pani już o tem nie myśli i nie wspomina — przerwała Irena,

przerażona jej zgorączkowaniem i rozdrażnieniem. — Teraz będzie wszystko inaczej.

— Teraz może wcale nie będę mogła grać, a nic innego nie umiem.

— Ależ obojczyk zgoi się napewno.

— To i cóż? Nie było chleba i nie będzie chleba, a obowiązki pozostaną, i wyrzuty sumienia, i odpowiedzialność wobec dzieci. One mogą przyjmować jałmużnę. Jeszcze są małe. Ja nie.

Ach! więc znowu jeden z tych tragicznych węzłów gordyjskich! Rozwiązać go nie można; przeciąć nie ma odwagi. Znowu jedna istota, którą życie wplata w koło tortur i domęcza powoli, obojętnie, niewzruszenie. Czy jest na to rada, gdy człowiek przeżyje sam siebie i trwa jeszcze, choć stracił swą rację bytu jako pracownik, wynagradzany w miarę użyteczności? Na co ludziom tyle fortepianów i tyle bezcelowych lekcyi muzyki, kiedy są gramofony, które dziś tak samo dręczyć mogą uszy sąsiadów, jak niegdyś tak zwane muzyczne panienki?

Pomyślała teraz o prawie do pracy.

Jaką funkcję wyznaczonoby pani Carpi w ustroju socjalistycznym, w chwili, gdy maszyna grająca zastąpiłaby czynność grającego człowieka?

Wbrew przekonaniu, zaczęła jednak uspokajać i pocieszać swą nauczycielkę.

— Droga pani! Niech pani tak czarno na przyszłość nie patrzy. Znajdziemy dla niej zajęcie takie lub inne; może bardzo skromne, ale stałe i pewne, a dzieci pani tak są uzdolnione, że gdy dorosną, napewno spłacą wszystkie materyalne i moralne długi, dziś zaciągnięte.

— Chciałabym, chciałabym widzieć, jak one rosnąć, rozwijać się, dojrzewać będą. Może będą szczęśliwsze, niż ich matka. Żebyż tak patrzeć na to, gdzieś, zdaleka, im nie przeszkadzać i nie być ciężarem. Tylko słuchajcie — dodała po chwili — czemu wy Baškę do artystycznej pchacie karyery? To znowu będzie to samo, co ze mną. Chyba, że rozwiniecie w niej próżność, a zabijecie serce. Ale to się nie uda i będzie się dziecina szarpać i mocować sama ze sobą — jak ja.

— To wcale nie jest zdecydowane. Zobaczmy, jak spożytkować jej talent. Pani sama to rozstrzygnie.

— Ja?! Znowu na swoją odpowiedzialność? Sobą nie umiałam pokierować. Jeszcze dzieciom zwichnę życie. Lepiej, żeby mnie nie było.

Uporczywie wracała jeszcze do tej myśli, jak gdyby lękała się, że wypuści z ręki nitkę, która ją wyprowadzi z labiryntu cierpień, że straci jedyny, jasny plan działania w odmęcie swej bezradności.

— Nie wolno tak mówić! Czyż pani nie widzi, jak te dzieciaki panią kochają? Toż z oczów ich wyczytać można, że choćby pani na resztę życia miała być przykutą do łóżka, to łóżko byłoby ich ołtarzem, a matka uwielbianem bóstwem.

Łzy słodkie, ciepłe, błysnęły pod powiekami Teresy, zalały oczy, a twarz drżała rzewnem rozczuleniem.

Zapłakała po raz pierwszy po owej katastrofie. Irena otuliła ją ramieniem i tak uciszała teraz płacz matki, jak jej siostra

lkanie dzieci, gdy po raz pierwszy na łożu szpitalnem ją widziały.

Na tę scenę weszła siostra Małgorzata, ze swoim kropidłem i święconą wodą, i dyskretnie cofnęła się od progu. Uczuła, że spełnienie zwykłego obrządku byłoby w tej chwili tutaj niedelikatnem i trywialnem.

Ciągłe starania około pani Carpi pochłaniały tyle czasu, że Irena niewiele wiedziała o tem, co się dzieje poza jej pokojem. Osobiście zyskiwała na tem, że mając obok siebie osobę bliską, życzliwą, czuła się u siebie swobodniejszą, mniej narażoną na nieustanny najazd obcych twarzy i postaci.

Chore zaglądały też do niej coraz rzadziej.

Wkońcu dopiero spostrzegła, że nie działo się to z powodu zmiany w jej trybie życia, lecz płynęło z wyższego zarządzenia. Nie ona się odsunęła; usuwano się od niej. Otworzyło jej na to oczy zachowanie się »nocnej Jadzi«, która już zupełnie przestała przychodzić na lekcye, a zagadnięta przez swą nauczycielkę, odpowiadała półsłówkami, zmieszana, oglądając się lękliwie za siebie,

jak gdyby bała się być przychwyconą na rozmowie.

Toż samo dostrzegala i w stosunku do chorych. Te czasem zamieniały z nią słów parę, ale skoro dojrzały kornet szarytki, rozpierzchały się, jak spłoszone kuropatwy.

Zrozumiała teraz, że od czasu rozmowy z siostrą Kasyldą poddano ją izolacyi, jako zarażoną. Było jej to bardzo przykrem, ale walczyć przeciw temu nie mogła.

Te środki ostrożności przedsięwzięto nie tylko może ze względu na odmowę spowiedzi. Wśród służby szpitalnej znowu rozpoczynało się jakieś wrzenie, podniecane prosto głodem.

Posty stawały się coraz surowsze; sprawa kolacyi była w zawieszeniu, o tyle, że na razie nie było jedzenia, były tylko warunkowe obietnice i łaska szarytek, które — jak twierdziły — z własnego wiktusku składają się na tymczasowe skromne dodatki dla najsłabszych, najbardziej odżywiania potrzebujących.

Do głodu, prawie niezmienionego, przybywał zatem obowiązek wdzięczności, lęk

narażenia się dobrodziuniom, by i tych mikroskopijnych posiłków nie cofnęły, wreszcie zawistne, rozbijające solidarność wkradanie się w ich łaski, a na tem tle kłótnie i drobne intrygi.

Posługacze z dołu stawiali się coraz hardziej.

Siostry z miną męczeńską zносиły skargi do lekarzy, wybuchały głośnie sceny, dwóch mężczyzn wyrzucono ze służby, a wtedy i kobiety zaczęły się ujmować za pokrzywdzonymi.

Irena w tem wszystkim nie miała najmniejszego udziału. Referowała jej o tych sprawach systematycznie pani Szurkowa, ze względu na swą religię nie objęta ogólną kwarantanną. Mimo to, z racji dawniejszych przyjaznych stosunków ze służbą, zakonnice patrzyły na nią, jako na prawdopodobne źródło fermentu.

Poza jej pokoikiem było jej też teraz wszędzie nad wyraz źle i obco. Czuła wołoko siebie atmosferę niechęci, nieufności, dochodzącej aż do lęku. Oddychała trochę swobodniej wtedy, gdy byli doktorzy. Na-

wet gdy nie mieli czasu z nią rozmawiać, dobrze jej było czuć w pobliżu ludzi ze swego świata, którzy jej ufają i na których ona polegać może.

W ich robocie nastał teraz okres pomyślniejszy.

Operacye się udawały; nikt nie umierał. Nawet Ziółkowska, na swoje utrapienie, a ku zdziwieniu lekarzy, żyła wciąż jeszcze.

— Dyabli wiedzą, czem ona żyje — mówili jeden do drugiego. — Ani jednego organu zdrowego w niej nie ma. Serce było podle jeszcze przed operacją. Płuc mogłaby niejednemu nieboszczykowi pozazdrościć. O kiszkaach i żołądku nie mówmy lepiej.

— Może bardzo chce żyć — próbował na swój sposób wyjaśniać doktor Szczygłowski.

— Bardzo śmiała hipoteza — krytykowała Grąbska. — Można kochać życie, ale nie takie.

— Kto nie ma tego, co lubi, musi lubić to, co ma — sentencyonalnie wygłosił Łzawicki.

— Naprzykład, kto nie ma zdrowej wą-

troby, musi lubić, co ma, to jest raka w wątrobie — wyszydził Kętrzyński.

A jednak radzi byli, że żyje. Może już tylko oni jedni cieszyli się tem osobliwem zjawiskiem, które na nowo podnieciło ich zainteresowanie dla chorej. Żaden z nich, idąc do swej roboty, nie ominął jej pokoiku. Pierwsze pytanie, którem się witali, było:

— A cóż Ziółkowska? Żyje?

— Żyje!

— Teraz to ja już nic nie rozumiem — mówiła Grąbska, ale i ona mówiła to wesółym tonem.

Choć Irena mogła się już oswoić z fachowo-lekarskim punktem widzenia, raziło ją nieświadome okrucieństwo w tych rozmowach.

— Gdybyście widzieli człowieka skazanego na śmierć, którego skon, zamiast nastąpić w kilka minut, rozkłada się na długie tygodnie, miesiące, złożony z nieskończonej seryi tortur, nie poczytywaliżbyście za obowiązek miłosierdzia dobić go, gdy go uratować nie możecie?

— Człowiek nie ma prawa zabijania

człowieka, czy to powolnie, czy doraźnie, więc nie może mieć obowiązku dobijania.

— Natura zabija, natura uzdrowia. Lekarz może pomagać naturze w uzdrawianiu, ale nigdy w zabijaniu.

— Natura dręczy i lekarz może pomagać w dręczeniu.

— Nie! nie! — zawołali wszyscy razem, oburzeni. — A chloroform? morfina? wszystkie znieczulające i usypiające środki, jakie stosujemy? Czyż nie świadczą one, że staramy się oszczędzić ludziom cierpień?

— Nic tak nie znieczula, jak śmierć.

— Największym tedy dobrodziejem jest kat — zauważył Kętrzyński.

— Czy pani jest pewna, słysząc, gdy ktoś śmierci się domaga, że będzie wdzięczny temu, kto mu ją zada?

— Jestem pewna, że nie będzie, bo po śmierci ustaje i wdzięczność — zażartowała Irena. — A wy czy jesteście pewni wdzięczności tych, którym ratujecie życie?

Roześmieli się wszyscy razem, tak dalekiem od rzeczywistości było to przypuszczenie.

— Jak się kuracya nie uda, ludzie narzekają na doktorów, a gdy się uda, dziękują Panu Bogu. Tak uczą ich siostry dobrodziunie.

— Wiadomo, że lepiej być w szpitalu Panem Bogiem, niż doktorem. Każdyby wołał.

— Przy mniejszej pracy osiąga się znacznie lepsze rezultaty — rzekł Szczygłowski z miną poważną.

— Dajcież pokój; siostry się zgorszą — ostrzegał Łzawicki.

— I ja się gorszę — rzekła na wpół żartobliwie Irena. — Wy troszczycie się tylko o ciało; siostry o duszę; o całego człowieka — nikt.

— To rola dla pani — rzekł z kurtuazją Łzawicki.

— Podział pracy jest konieczny.

— Czyń każdy w swoim kółku — deklamował z patosem Kętrzyński.

— A całość wcale się nie złoży — przerwała Irena, rozdrażniona już trochę.

— Wszystko będzie, jak jest, pokawał-

kowane, poszarpane, pełne sprzeczności i rozterki.

— Ran źle zagojonych, blizn szpetnych — półgłosem pomagał Szczygłowski.

— Moja droga pani, czego pani od nas chce? O całego człowieka się nie troszczymy, bo cali ludzie do nas nie przychodzą, — tłumaczyła Grąbska. — Każdemu tu czegoś braknie, a te braki dotyczą ciała, marnego ciała, stanowiącego nasz skromny departament. Troszcz się tu o szczęście i równowagę duchową takiego osobnika, któremu na przykład może zabraknąć ręki lub nosa.

— Najpierw nos, a potem szczęście — sformułował Kętrzyński.

— Nos, zaprawdę, do szczęścia pomaga bardzo.

— Nie każdemu. Jest tu jedna chora, która bardzo chętnie pozbyłaby się całkiem zdrowego nosa.

— Co? Może ta histeryczka?

— Tak jest. Dowodziła mi dziś, że trzeba jej koniecznie nos operować!

— Co u licha! Dopiero wczoraj miała

wrzód w gardle. Ani mówić, ani jeść nie chciała.

— Ten wrzód ja operowałem — oświadczył Kętrzyński.

— Co? jak? Alboż tam był jaki wrzód? — pytali wszyscy z zaciekawieniem wesołem.

Kętrzyński śmiał się:

— Wczoraj, po opatrunkach, wziąłem ją do sali i zawołałem Macieja. Było między nami umówione, że w chwili, gdy oświetlę jej reflektorem gardło, on, trzymając jej głowę, niby przez nieostrożność ukłuje ją w ucho. Tak też się stało. Baba wrzasnęła zdrowo, zakłęła: »psiakrew!« i w dalszym ciągu sypała kwieciste wyrazy na Macieja, który tak się śmiał, że aż za brzuch się trzymał. »Niema wrzodu, oświadczyłem. Sama pani się przekonała, jaki czysty i mocny głos«. Od tej pory wrzód przerzucił się do nosa.

— Ja wiem o jednej operacyi, która jest jej bardzo potrzebna, a przed którą pewno bronić się będzie — oświadczyła Irena.

— Nie może być! — zdziwili się lekarze.

— Obcięcie włosów. Ma tak zarobaczoną głowę, że już chyba nic innego nie pomoże.

— Alboż jej nie myto głowy? To przecież obowiązkowe!

Irena wiedziała, że przepisy, dotyczące czystości, bardzo ściśle przestrzegane były pod Cierniową Koroną, ale tylko przez doktorów i bezpośrednio im podlegające osoby: felczerów i posługującą przy operacjach służbę.

Zakonnice stosowały się do tych przepisów tylko formalnie, nie przywiązując do nich wagi i nie kładąc na nie nacisku.

Siostra Małgorzata co rano myła i czesała chore, które same tego zrobić nie mogły, często z tą samą miednicą i grzebieniem idąc od suchotnicy do rakowatej, od rakowatej do cierpiącej na rupturę lub ślepą kiszkę. Czasem aplikowała i sabadil na wszawę głowy, jeśli chora sama o to prosiła.

Kąpiel odbywała się z reguły przy wstępie do szpitala i bezpośrednio przed operacją. Poza tem łazienkę otwierano tylko

dla chorych, które mogły się powołać na specjalny nakaz doktora. Traktując ją na równi z innymi zabiegami lekarskimi, siostry nigdy na własną odpowiedzialność kąpieeli nie dozwalały.

To też tam, gdzie wzrok lekarzy nie docierał, panowało wstrętne niechlujstwo.

Kuchenska za jadalnią roila się od robaictwa.

Syberynowe szlafroki, których chore używały jako płaszczy dla ciepła, przechodziły od jednej do drugiej nieczyszczone i niedezynfekcyonowane.

Zakonnice, przywykłe do ewangelicznego komunizmu w swem Zgromadzeniu, bardzo chętnie widziały, gdy — nie brzydząc się jedna po drugiej — chora chodząca narzucała na ramiona płaszcz przykutej do łóżka sąsiadki i nie pytała, ile na nim przyschło plwocin lub ropy.

Wierząc głęboko, że każda choroba jest jedynie dopuszczeniem Bożem, wiele skwapliwiej aplikowały modlitwę, niż wodę i mydło.

Sale operacyjne, opatrunkowe, narzędzia,

łazienka, w której felczerzy myli chorych przed operacją, sami wreszcie doktorzy i felczerzy — były to nieprześcignione wzory pedantycznej czystości; ale po pościeli i ubraniu chorych wszy spacerowały swobodnie, a lekarze musieli ciągle bronić się przed najazdem tych stworzeń, które wszelka schorowana nędza pod Cierniową Koronę importowała.

Była to walka nieustanna a beznadziejna szczytów kultury z barbarzyństwem podziemi społecznych.

Kilkotygodniowy pobyt w szpitalu byłby mógł dla niejednego chorego stać się szkołą elementarnych zasad higieny, porządku i cywilizacji, gdyby same dobrodziunie nie patrzyły na te sprawy z tak podniebnej wyżyny.

Wszystkie te drobne szczegóły życia szpitalnego drażniły Irenę coraz więcej.

Rozumiała ona doskonale, że dla większości chorych pociechy religijne miały ogromny urok i znaczenie, a nabożne obrzędy, rzucając blask świętości i jakiejś kościelnej poezyi na niejeden moment stra-

szny i odrażający, były dla tych ciemnych, zależnionych dusz także swego rodzaju do-brodziejstwem.

Każda z nich jednak wychodziła z murów szpitala z tym samym absolutnie światopoglądem, jaki do niego wносиła. W jej wyobrażeniach, obyczajach, narowach nie dokonywała się nawet najlżejsza zmiana, tu, gdzie nędza i ciemnota codziennie stykały się z warsztatem wiedzy współczesnej i z jej pracownikami. Brakło między jednym a drugim pośredniego ogniwa: pielęgniarzek inteligentnych i poważnie traktujących swój zawód.

Dawniej próbowała Irena ten brak za-stąpić; obecnie jej to uniemożliwiono.

Wszystkie jej porywy i wysiłki musiały się zawsze rozbijać o widzialne lub niewidzialne zapory, któremi ją obstawiano.

Najwięcej jednak dręczyła ją ta, która ją odgradzała od Jerzego.

Wiedzieć, że tuż, o kilka metrów poniżej tego pokoju, gdzie ona mieszkała, jest człowiek drogi jej nad życie, że nad nim wisi groza nieustanna, nie módz mu nieść

otuchy i ulgi, z obawy powiększenia niebezpieczeństwa, nie czynić nic dla ratowania go... ach! o ileż to było straszniejsze, niż te chwile, które przeżyła pani Teresa, gdy wprost z sali koncertowej szła do kochanego męża. Tamta czuwała nad swoim ukochanym, aż do ostatniego tchnienia, mogła pochwycić wzrokiem jego ostatnie spojrzenie, wyczuć ostatnie uderzenie serca!

Niemal co dzień wychodziła na schody, nadśluchiwała i wahała się: iść, czy nie iść dalej?

Podejrzywała, że nakazywana jej ostrożność ma więcej ją, niż jego na względzie, i już gotowa była, nie bacząc na nic, iść wprost tam, aby choć raz jeszcze, póki to jest faktycznie możliwe, chwilę jedną spędzić przy nim.

Jeżeli jednak to naprawdę pogorszy położenie? Formalnie rzecz biorąc, on jest tylko jednym z wypadkowych chorych, a ona przyjechała tu w karetce pod eskortą. Może dziś już rzecz zupełnie inaczej stoi? Może wobec jego sprawy tamta schodzi na drugi plan, ale on tym sposobem będzie

wmieszany do obu, a to obciąży i jego i tych wszystkich innych.

Szukała jeszcze wyjścia.

Coraz mniej prawdopodobne plany wykradzenia i ucieczki wciąż ją zaprzętały, a za pośrednictwem Bronki i Misi usiłowała je wprowadzić w życie.

Tu, w jej pokoiku, można było teraz przygotować niejedno, kryjąc się tylko przed okiem przygodnych świadków, którzy coraz rzadziej ją nawiedzali. Z obcych zachodziła do niej tylko codziennie jedna piękna felczerka, aby się przejrzeć w jej lusterku i poprawić fryzurę, zanim pójdzie kokietować kolegów i młodych lekarzy, sypiąc perskie oko i szczerząc do nich perłowe ząbki przy jodynowaniu ran i zawijaniu bandaży.

Ostrzegano przed nią Irenę.

Podobno nietylko dla flirtu, a już bynajmniej nie dla poważnej praktyki zdobyła przebojem wstęp do Cierniowej Korony, wsparta przepotężną protekcją. Ponieważ jednak w szpitalu spędzała tylko parę go-

dzin, łatwo było trzymać ją w pewnem odaleniu.

Więcej niepokoju budziła Szurkowa, pocichu w swych szpitalnych pantoflach myszkująca po całym pawilonie, a tak doskonale znająca jego tajniki, że przed jej wzrokiem ukryć się nie mogła najdrobniejsza zmiana.

Wszystko to było jednak drobnostką wobec absolutnej prawie niemożności porozumienia się z Jerzym.

W oddziale męskim podejrzanych figur było stanowczo więcej, a i posługaczom nie można ufać. Jedyńy, na którego liczyły, został właśnie z racyi projektowanego sztrajku wydalony.

To też wszystkie przygotowania czyniono bez wiary. Widocznem było, że żadna z kobiet nie ma odwagi ich zaniechać, by nie stwierdzić wprost tego, co każda czuła nieświadomie; ale co było zbyt straszne: absolutnej niemożności wykonania planu.

Nie było ani poza szpitalem, ani w szpitalu nikogo do pomocy. Była to chwila ogólnego rozbicia.

Irena nie mogła, nie chciała dać za wygraną.

Pewnego wieczora, nic nikomu nie mówiąc, wzięła znów klucze od telefonu, by czemkolwiek zamaskować wycieczkę, na którą tak długo się ważyła.

Szła, nie oglądając się wcale; chciała tylko słuchem złowić jakiś dźwięk czy szmer, któryby jej objawił stan rzeczy. Nadaremnie. Dopiero, gdy znów wychodziła na korytarz, rzuciła nieznacznie okiem przez wąską szczelinę odemkniętych drzwi w głąb pokoiku.

Łóżka Jerzego dostrzedz z tego punktu nie mogła, wzrok jej padł na łóżko sąsiednie. Leżał na niem rudy z ręką na temblaku. Był tedy teraz dzień i noc przy nim, na straży. Słyszał każde jego słowo, wymienione z lekarzami, z matką.

W tej chwili zmierzył wzrokiem i Irenę, musiała więc, nie przystając ani na sekundę, przejść dalej.

— Zapóźno! Zapóźno! — dzwoniło w jej uszach, tętniało w głowie. Wszelkie fortele niemożliwe; chyba tylko jeszcze terror, na-

paść! Dla wątpliwego uratowania jednej ofiary — ryzykować kilka?! Dla niej ta jedna była jedyną; z tych kilku każda może jedyną dla kogoś.

Wróciła do swego pokoiku, blada, jak ściana, aż pani Carpi zlekła się o nią.

Przez długą chwilę nie mogła wydobyć głosu, by odpowiedzieć na jej niespokojne pytanie. Wkońcu rzekła:

— Widziałam widmo.

— Jakto?

— Widmo swego losu! Wszystko na nic!

Teresa mniej więcej wiedziała, o co chodzi. Nie wtajemniczały jej, ale jej się nie strzegły. Widziała, jak różne poszczególne sztuki ubrania, przynoszone nieznacznie przez Misię i Bronkę, chowano pod pościel Ireny, która stale sama słała sobie łóżko. Była tam między innymi sutanna i szeroki kapelusz księży. Mówiono jej przytem ogólnikowo o rannym, o grożącym mu niebezpieczeństwie, o otaczającej go tajemnicy.

Śledząc wyraz bólu i lęku na twarzy

Ireny, pani Carpi z kolei zapominała o własnych troskach, przejmowała się grozą położenia, szukała słów pociechy. W jej osobistym życiu zresztą horyzont zaczynał się rozchmurzać.

Zostało ułożonem, że gdy ją wypiszą ze szpitala, przeniesie się do Bronki i będzie jej pomagała w prowadzeniu i dalszym rozwijaniu szkoły.

Było tam w planie, a nawet już w zapoczątkowaniu systematyczne, wedle najnowszych metod kształcenie muzykalności dzieci przez śpiew chóralny i gimnastykę rytmiczną w połączeniu z teorią muzyki.

Do umiejętnego przeprowadzenia tego systemu potrzebowała Bronka współpracownicy, posiadającej wyższe wykształcenie muzyczne i pedagogiczne zarazem.

Pani Carpi doskonale nadawała się do tej roli.

Sprawa była w zasadzie zupełnie postanowiona, a najponętniejszą stroną projektu było, że pozwalał on łączyć pracę zawodową z obowiązkami macierzyńskimi, Teresa zaś po pewnym okresie studyów i praktyki zdo-

być miała nową specjalność — modną i obiecującą.

Czasem, rozmawiając ze swą przyszłą współpracownicą, zapalała się do tych planów, rozszerzała je i pogłębiała na podstawie zebranych w ciągu swej pracy nauczycielskiej doświadczeń.

Nie mówiła już teraz o śmierci.

Raz nawet, rozkołysana miłymi rojeniami, wyrzekła, jakby sama do siebie:

— Kto wie? Może ja rzeczywiście zacząć nowe życie?!

Jakkolwiek choroba pani Carpi należała do najmniej ciekawych, lekarze pod wpływem Grąbskiej, wtajemniczonej przez Irenę w okoliczności życia pacjentki, okazywali jej dużo zainteresowania, które tym razem objęło całego człowieka.

Sprowadzono z innego pawilonu słynnego dyagnostę, by zbadał ogólny stan wyćwiczonego organizmu; poddano ją wzmacniającej kuracji i codziennie w razie pogody na parę godzin wynoszono na balkon dla werandowania.

Pewnego dnia, właśnie w takiej chwili,

gdy Irena znalazła się sama w swym pokoiku, z tajemniczą i uroczystą miną weszła siostra Kasylda.

— Dała mi pani obietnicę, że pomówi z księdzem. Pamięta pani? W tej chwili jest u nas Ojciec Larjon, ksiądz prałat Larjon — poprawiła. — Spowiada jedną chorą, a potem chce być u pani. Chyba teraz najlepsza chwila.

— Więc nie ksiądz Kryska? — zapytała zdziwiona Irena.

Zdawało jej się, że łatwiej i milej byłoby jej mówić z tym duszpasterzem nędzarzy, niż z wykwinłym monsignorem, którego znała z widzenia.

— Nasz kapelan bardzo zapracowany — tłumaczyła Kasylda.

— Owszem, niech będzie i ksiądz Larjon, jeśli siostrze o to chodzi.

Za chwilę ukazał się w progu ksiądz prałat, postać szczupła, wysoka, dostojna, o subtelnie modelowanym rzymskim profilu, wąskich i starannie pielęgnowanych rękach, których wymowną gestykulację podziwiała w kazaniach dewotki, o czarnych, na wpół

przysłoniętych powiekami oczach i cienkich, bladych wargach. Wszystko w nim było stylowo szarmonizowane, obmyślane w szczegółach, nie jako doraźnie przybrana poza, lecz jako wynik długiej kultury. Był to raczej typ katolickiego dyplomaty, niż kapłana. Twarz ascetyczna, mądra, ale nieprzenikliwa, jak zamknięta księga.

— Tak powinien wyglądać kardynał sekretarz stanu — pomyślała Irena.

Przywitał ją z uprzejmością wytworną i swobodną, jak człowiek, przywykły do obracania się w salonach.

— Siostra Kasylda zapowiedziała pani mam wizytę, lecz może nie zupełnie dokładnie zdała sprawę z mych intencji. Zaproszenie jej uprzedziło moje chęci. Dawno pragnęłam poznać panią.

Irena wyraziła zdziwienie:

— Nie przypuszczałam, aby ksiądz prałat wiedział o mem istnieniu.

— A jednak wiedziałem, choć na pozór tak daleko jesteśmy od siebie, jak ludzie z innego świata. Może pani sądzi, że ja się w tym moim świecie zasklepiałem, iż nie

znam i nie odczuwam tego, co poza nim leży? Tak nie jest. Z obowiązku powołania swego i z wrodzonego zainteresowania pragnę znać i śledzić całe życie — a raczej wszystkie tego życia cierpienia, walki, obłądy i upadki. Słyszałem niejedno o pani działalności. Choć jej nie pochylałem nigdy, nie wątpiłem, iż z najszlachetniejszych płynęła pobudek.

Dziwnie niemiłą była Irenie myśl, że ten obcy, zagadkowy człowiek miał śledzić jej życie i zbierać o niej informacje.

— Bardzo to szczęśliwie dla mnie wypadło, że pogłoski, które do uszu księdza prałata doszły, nie zniechęciły go całkowicie do mej osoby. Mogło być przeciwnie.

— *Tout comprendre, c'est tout pardonner* — zacytował łaskawie ksiądz Larjon, lecz złagodził zaraz wrażenie, mówiąc dalej:

— Nie wynika stąd, bym miał się stawiać na stanowisku przebaczonego, gdyż i ja mogę pobłażliwości potrzebować. Sąd nie do nas należy, lecz naszym obowiązkiem jest wnikać w tajniki dusz i rozja-

śniać te zakątki, które dla nich samych są zagadką i mrokiem.

— Przeczuwam, że pani jest bardzo nieszczęśliwa — dodał.

— Alboż tylko ja? — przerwała mu Irena. — Nieszczęście otacza nas zewsząd. Brniemy przez nieprzebytą gęstwinę cierpień, którym końca nie widać.

— Zbyt długo już mieszkam w tym kraju — mówił, wysłuchawszy uważnie jej słów — aby nie rozumieć, że te nieszczęsne warunki polityczne, powodując mnóstwo udręczeń, muszą zasiewać we wrażliwych duszach uczucie buntu, nienawiści; czasem wywoływać czyny rozpacz i szaleństwa. Rozumiem też, że niejednen Konrad w samotnem więzieniu bluźni, wypowiada walkę Bogu.

Zwrot do polityki znowu zmroził Irenę i obudził jej czujność.

— Widzę teraz, jak niedokładnie informowano księdza prałata — oświadczyła spokojnie. — Wbrew temu, co mówiono, i wbrew pozorom, ściśle biorąc, polityką nie zajmowałam się wcale. Nie podjęłabym się nigdy

rozstrzygania tych zawikłanych zagadnień programowych i taktycznych, z których składa się działalność każdej partii. Nie czuję się na siłach. Mnie zajmował zawsze i wszędzie tylko człowiek cierpiący, a że on jest najpospolitszym zjawiskiem, że liczy się na miliony, więc interesowałam się cierpieniami milionów. Są ludzie, którzy wierzą, że na nie mają niezawodne lekarstwa. Za tę wiarę dają życie i śmierć. Może mają słuszność — może nie; ja o tem przesądzać nie mogę.

— I idzie pani z nimi bez ich wiary; daje więcej, niż oni, bo za swoje życie, swój czyn ofiarny, nie otrzymuje w zamian nawet nadziei tryumfu.

— Daję bardzo mało. Cokolwiekbym dać mogła, jest niczem wobec bezmiaru niedoli, niezaspokojonych potrzeb, nieugaszonych pragnień. Jedno życie ludzkie złamane, zmarnowane, a choćby nawet stracone, jest bardzo małą rzeczą, gdy naród ginie.

— Pani jednak nie ma nic więcej do rozporządzenia, niż życie. A może ono jest

skarbem jej powierzonym? na jej odpowiedzialność złożonym depozytem, z którego rachunek zdać trzeba? Może to od pani zależy podnieść jego wartość, a roztrwoni je tylko dlatego, że weszła na drogę bez wyjścia, na drogę, której metą jest rozpacz? Gdy pani spogląda na ten bezmiar niedoli, wchłania w siebie cierpienia milionów, śledzi to, co się dla podźwignięcia tych milionów czyni, czyż pani nie widzi, jak to wszystko jest beznadziejne, bezcelowe, bezpłodne? By jednym nieść ulgę, innym zadaje się rany; dla ratowania jednych, gotuje się innym zgubę. Każdą walkę okupuje się ofiarami, każda ofiara jest posiewem zemsty i odwetu. Każdy rydwan tryumfalny miażdży zwyciężonych, przyszłych buntowników i mścicieli. Rozum człowieka nie znajduje wyjścia z tego błędnego koła, nie zaprowadzi ładu w chaosie życia, które z tego punktu widzenia wydaje się okrutną igraszką piekielnych potęg.

Czyżby Ojciec Larjon istotnie czytał w jej duszy?

— Inaczej jednak spojrzysz pani na świat

i życie, gdy pomyśli, że może tu jest plan wielki, mądry, harmonijny, a tylko my go nie widzimy, tak jak robaczek, ukryty w korze dębu, nie widzi jego wspaniałych, rozłożystych konarów. Może gdzieś poza nami i ponad nami pozorny bezład i chaos układa się w przedziwne arcydzieło myśli twórczej, gdzie cienie są tylko środkiem wydobywania plam świetlnych, uwydatnienia przedziwnych kształtów posągowej piękności. Może każde cierpienie ma w tym planie jakąś poważną, zbawienną, głęboko uzasadnioną funkcję i we właściwy sobie sposób pracuje dla osiągnięcia ostatecznej, niezmierzzonej szczęśliwości? Może wszystkie dręczące nas zagadki mają ukryte dziś przed naszym wzrokiem rozwiązanie, a kluczem do nich jest wiara w tę nieogarnioną mądrość, która stworzyła i złe, i tęsknotę za dobrem, a umieszczając nas w takiej głębokiej, mrocznej przepaści, dała zarazem skrzydła, byśmy się ku szczytom i światłu wznosili?!

Irena słuchała.

Oczywiście to było zupełnie coś innego, niż medalik siostry Kasyldy.

— Słowem, ksiądz prałat określa pojęcie Boga jako filozoficzną hipotezę lub poetyczną fantazyę.

— Wyobrażenie Boga w różny sposób rysuje się w duszy ludzkiej, zależnie od ustroju tej duszy. Inaczej w głowie myśliciela, kapłana, działacza społecznego, inaczej w duszy dziecka lub prostaczka. Wszakże i promienie słońca inaczej załamują i odbijają się w kryształowej soczewce, w falach jeziora, w kropli rosy, inaczej w oknach tamtej naprzykład kamienicy — rzekł, pokazując ręką w stronę miasta. — A to jest jednak zawsze to samo wielkie, promienne, życiodajne słońce. I to jest ten sam Bóg — dodał — ten, do którego siostra Kasylda odmawia litanie, i ten, który dla myśliciela stanowi jedyne wystarczające rozwiązanie wielkiej zagadki bytu.

— Pozwoli ksiądz prałat — rzekła po chwili milczenia Irena — kiedy weszliśmy na drogę rozumowania, że i ja argumentować będę.

Larjon skłonił głowę na znak przyzwolenia, a ona mówiła:

— Dotychczas mamy tylko poetycką alegorię i hipotezę, którą możnaby i tak sformułować: »Dobrze byłoby, gdyby każde cierpienie było tylko ceną okupu za stokroć większe od niego szczęście, gdyby każdy pozorny chaos, każda bolesna sprzeczność były tylko nieharmonijnym wykrawkiem z harmonijnej całości« — i tak dalej. Cóż nam jednak tę hipotezę potwierdza, do jakich ona nas doprowadza wyników? Czyż jedynym jej uzasadnieniem nie jest to, że chcemy w nią wierzyć, jej jedynym punktem wyjścia nie jest pragnienie spokoju za wszelką cenę? jedynym rezultatem znieczulenie się na własne — i co gorsza — na cudze cierpienie?

— Na własne i cudze. To, co jest dla pani cudzem, dla kogoś jest własnem. Jeśli znieczulisz człowieka na ból, to już ból usunięty. Nie istnieje cierpienie, gdy niema cierpiącego.

— To jest usuwanie cierpień, zamiast usuwania ich przyczyny.

— A gdzież jest przyczyna cierpienia? W nożu, który rani, w nerwie, który cięcie noża odczuwa, czy może w mózgu, który czucie bólu uświadamia?

— Wciąż ta sama zasada biernej rezygnacji, zmartwiałość, zaprzeczenie życia — pomyślała Irena, a głośno rzekła:

— Zasada: niesprzeciwianie się złemu jest rękojmą niewzruszonego panowania zła.

— Co jest złe, co dobre? Podejmuje się pani rozsądzić i określić? Pani, która nie podjęłaby się krytycznie roztrząsać wartości programów partyjnych? Proszę wejść w siebie i zastanowić się: Czy zwalczając to, co złem nazywam, sama nie staję się złą? Czy nie wzbiera we mnie uczucie nienawiści i nie stawia mnie na równi z tymi, co może także ścigać mnie z nienawiścią, dlatego tylko, że we mnie widzą zło do zwalczenia? Czy jedyną drogą, która mnie nad ich poziom wznosi, nie jest wskazana w Ewangelii: »Miłujcie nieprzyjaciół wasze?«

— A jeśli dla nieprzyjaciół mieć bę-

dziecie miłość, coś dacie przyjaciółom? — mówi mędrzec chiński. — Miłujcie przyjaciół, a dla nieprzyjaciół bądźcie sprawiedliwi — zacytowała i dodała od siebie:

— Chińska zasada trafia mi lepiej do przekonania.

— I znowu muszę zapytać: Czy posiada pani bezwzględne kryterium sprawiedliwości? Własne cierpienia i cierpienia tych, których pani kocha, biorą nieraz początek w tak zwanym wymiarze sprawiedliwości. Ileż razy w imię sprawiedliwości ludzie braci swych prześladowali!

— Ależ ja nie prześladowę nikogo — broniła się.

— Bo nie mogę — zauważył.

— Nie! nie! — protestowała. — Nie prześladowałabym, gdybym mogła. Uczucie nienawiści, jeśli się we mnie rodzi, to tylko na tle poczucia bezsilności. Wolałabym być silną, wolną i wspaniałomyślną. Niema we mnie ani cienia instynktu okrucieństwa. Szczerze mówiąc, zdaje mi się, że nie umiałabym nienawidzić ludzi; mogę tylko nienawidzić rzeczy. A to czyż nie jest natu-

ralne i zrozumiałe? Wszak ten, kto kocha prawdę, musi nienawidzić kłamstwo, kto kocha wolność, musi nienawidzić niewolę?

— Wspaniałomyślną może pani być i teraz i czuć się silną. Chodzi tylko o to, by kochać także więcej rzeczy, niż ludzi, rzeczy wielkie, wieczne, nieprzemijające, gdyż jest w nich moc, która wszystko zwycięża. Oparta o nie może pani już dziś mieć politowania dla tej pozornej, przemijającej siły, która panią gnębi — i może też dlatego nienawidzi, że w gruncie rzeczy bezsilność swą czuje.

Słyszała nieraz to samo, tylko innym wyłożone językiem: niewzruszone prawa ewolucyi, postęp, rozwój historyczny, ostatnie wysiłki ginącego świata. »Co złe, to w gruzy się rozleci, co dobre, wiecznie musi żyć!« A i tu i tam wiara, że wszystko stanie się samo wedle z góry ustanowionego planu, mocą jakiejś poza jednostką ludzką władającej potęgi.

I nie o słowach Larjona tylko, — raczej o tamtej religii myśląc, zawołała sama do siebie:

— Ach! gdybym ja w to uwierzyć mogła!

Po twarzy monsignora przebiegło bardzo nieznaczne drgnienie uśmiechu:

— Niech pani pracuje nad wzbudzeniem w sobie tej wiary.

I dodał jeszcze z dobrotliwą perswazją, z odcieniem ojcowskiej tklivości w głosie:

— Niech mi pani przyrzecze, że zacznie nad tem pracować, a znajdzie pani moc wewnętrzną i spokój ducha.

— Ach! tak, będę; muszę. Choć wewnętrzny spokój jednostki nie może być celem, bo z jakże mętnych i marnych źródeł czerpią go ludzie czasem! Ta jednak moc i spokój są jedynym środkiem do osiągnięcia wielkich celów.

— Czy nie zdarzyło się pani czasem stwierdzić, że złe, że jakieś wielkie cierpienie, dla którego napozór wyjścia nie było, nad którym rozpacz ogarniała i bunt wzbierał w duszy, wkońcu, w całkiem nieprzewidziany sposób znalazło ukojenie, ulgę, że okazało się faktycznie początkiem jakiegoś zbawiennego zwrotu? Wszak pani musiała

wtedy odwołać słowa goryczy wyrzeczone poprzednio, może zaprawione jadem bluźnierstwa?

— Czy nie żałuje pani dziś tych wybuchów i nie postanawia ich unikać? Czy nie zdarzyło się pani, że pod wpływem namiętnego, choć z szlachetnych pobudek płynącego rozżalenia, oskarżała pani nie tylko los, lecz i ludzi — a potem przekonywała się, że sąd jej był przedwczesny i niesprawiedliwy?

W tej chwili myślała Irena o losie pani Teresy, jej niedoszłym samobójstwie, obecnem odrodzeniu, o swej rozmowie z lekarzami, którym poczytywała za okrucieństwo ratowanie każdego życia, a potem wahanie się, czy nie po ich stronie czasem była słuszość. — W zamyśleniu, jakby znowu sama do siebie, odparła.

— Tak jest; i to się zdarza.

— Choćby takie fakty były rzadkie, niech pani je zachowa w pamięci i wspomina, ile razy przyjdzie jej pokusa upatrywać w życiu bezsensowny chaos — igrającą złowrogiej potęgą.

— Dobrze — odparła nawpół bezwiednie z łagodnym uśmiechem Irena — i poszła za biegiem własnych myśli.

Nastąpiła chwila milczenia, wśród której cienkie wargi duchownego drżały prawie niedostrzegalnym szeptem.

Wreszcie wstał i zaczął się żegnać:

— Zabrałem pani dużo czasu, ale mam nadzieję, że nie został stracony. Proszę pamiętać naszą rozmowę i poczynione mi obietnice. Teraz zaś, na zakończenie pozwoli pani, że pożegniam ją na swój sposób.

Gdy pochyliła głowę do ukłonu, w powietrzu, nad jej czołem nakreślił znak krzyża. Miał w tej chwili twarz namaszczonej, oficjalnej. Irena odprowadziła go wzrokiem do drzwi i nagle, tknięta niespodzianą myślą zawołała:

— Księżę prałacie! Czy — czy to była spowiedź?

On, nie zatrzymując się prawie, zlekka odwrócił głowę, obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem z pod wpół przymkniętych powiek i cichym lecz wyraźnym głosem oświadczył:

— Tak, to była spowiedź.

Znikł za drzwiami korytarza. Irena przez chwilę nie mogła ochłonać ze zdziwienia. Istotnie, było i wyznanie grzechów, i żał za nie, i przedsięwzięcie poprawy, wreszcie rozgrzeszenie. Jezuita! — szepnęła wreszcie przez zęby. —

Doszła do wniosku, że wszelkie nawracanie, czy to naiwnymi sposobami szarytki, czy też subtelными wywodami monsignora, zasadza się na zastawianiu zręczniej czy mniej zręcznie maskowanych pułapek. Zbłąkaną duszyczkę, gdy się w nią schwyta, trzeba żywą, czy martwą do królestwa niebieskiego dostawić. Dziwiło ją już tylko, dlaczego naprzykład siostra Kasylda nie praktykuje na szeroką skalę nawracania pod chloroformem, co byłoby dużo mniej kłopotliwe, a wcale nie mniej logiczne.

— Cokolwiek ja o tem myślę, zakonnice będą mnie odtąd uważały za nawróconą, a może i ojciec Larjon? Ej! nie. Na punkcie sceptycyzmu mało który bezwzaniowiec może się z nim mierzyć. Jego

ewangeliczna pokora nie mogła pogodzić się jeno z myślą o doznanej porażce. Woli i drugich i sam siebie oszukać, niż przyznać, że jego wymowa bezsilną okazać się może. Ha! cóż? I on także »praktykuje«, i on »jest zły, gdy mu się nie szykuje robota«, jak mówi o doktorach Stefka.

Sądziła go teraz tak surowo, może właśnie dlatego, że jeszcze chwilę przedtem ujęta jego mądrą wyrozumiałością, jego łagodnym, kojącym jak balsam głosem, już gotowa była w nim widzieć prawdziwego lekarza dusz z powołania i natchnienia, gotowa może nawet poddać rany swej obolałej duszy jego umiejętnej i troskliwej pieczy. Była chwila, że czuła się słodko ukołysaną, jak spłakane dziecko na ręku niania, gdy ostatni gest ocucił ją. W lekarzu ujrzała łowcę dusz. — I ten odruch minął jednak. O cóż się gniewam? Czyż nie wiedziałam, z czem i poco przychodzi? Toć to jest jego zawód, jego powinność, jego służba Boża! Żal jej już tylko było, że oprócz tych fachowców, którym chodzi przedewszystkiem o statystykę nawróconych,

a którzy pełnią swe funkcje wedle z góry ustanowionego systemu, niema i takich, co by naprawdę uznali za swe powołanie leczyć obolałe serca i tak starannie pielęgnować i do zdrowia przywracać, tych, po których przejedzie koło życia, jak i lekarze opatrują wydobytych z pod tramwaju, poszarpanych przez wybuch kotła lub bomby.

Ona czuła się tak potłuczoną i poszarpaną moralnie, tak obolałą — jak człowiek nie mający ani jednego zdrowego miejsca na skórze, dla którego każde dotknięcie jest bolem. Tak długo już przebywała w szpitalu, przed jej oczami przesunęło się już tyle kalek, chorych, nieszczęśliwych, a jej zdawało się, że każda porzucając szpital pozostawia jej część swych cierpień na pamiętkę. Jedne przebywały tu dwa lub trzy tygodnie: inne po parę miesięcy; bardzo wyjątkowo dłużej. Może jedynym takim wyjątkiem była Szurkowa. Niektóre wychodziły zdrowe i spieszyły się do domu. Te zapominała najprędzej. Inne zalewały się łzami, zabierając ze sobą w świat kalectwo

i nędzę. Nigdy nie mogła zapomnieć jednego biednego, kulawego dziecka. Jako nieuleczalne oddawano je matce. Ach! jemu było tu tak dobrze! Gdzież ono znajdzie takie czyste, wygodne łóżko, opiekę, ciągłe towarzysztwo, codzienne ciepłe obiady, światło i powietrze! Przecież ona nie miała domu, tylko kąt, a w tym kącie jedno łóżko, a na tem łóżku — jedni wzdłuż, drudzy w poprzek — spała cała rodzina. I ono! z tą chorą nóżką! Musiała je zabrać. W szpitalu można się leczyć, mieszkać nie można.

Irena jednak tymczasem mieszkała, choć już teraz nie miała tu nic do roboty i nikomu na nic przydać się nie mogła. Zakonnice, jeśli i zmieniły trochę swe względem niej stanowisko, to tylko o tyle, że przybrały postawę pobłażliwie wyczekującą. Nie mogły podawać w wątpliwość zapewnienia ojca Larjona, ale nie widząc dorażnych skutków nawrócenia, choć zalecał im cierpliwość i dyskrecję — niemile zdziwione były opornością i zatwardziałością tej duszy. Osobiście okazywały jej więcej życzliwego zainteresowania, lecz do poufa-

łości ze służbą i ogółem chorych nie dopuszczały. Nawet i pani Teresa już jej dziś nie potrzebowała.

Na zbliżające się święta Wielkanocne miała wyjść ze szpitala, razem z dziećmi swemi spędzić dni wakacyjne, a potem zabrać się do pracy. — Ze względu na owe święta pawilon pustoszał; rekonwalescentki wypisywały się skwapliwie, spiesząc do swoich — o ile ich miały; przybywały tylko takie nowe chore, które bądźto wypadkowi uległy, bądź naglej potrzebowały operacji.

Nie bacząc na wszelkie zakazy i zastrzeżenia przyszły się pożegnać z Ireną »gosposia« i Stefka. Pierwsza miała jeszcze bandaż na głowie, ale tak się spieszyła do tatusiów, do grochu i kartofli, że postanowiła resztę niezbędnych opatrunków powierzyć owemu »paskudziarzowi« z powiatowego miasteczka.

— Pani doktor powiadają, że to — to już bele felczer potrafi, a kiedy mnie tak pilno, to trudna rada.

Stefka była już zupełnie w porządku, miała tylko ten kłopot, że jej się bluzka

zapiąć nie chciała, najpierw, że utyla, a po drugie, że straciła figurę w szpitalu, bo nie nosiła gorsetu.

— Ani ja wiem, w co ja się na te Święta ubiorę. Trzeba będzie na gwałt coś uszyć.

Było to dla niej wogóle nie małym utrapieniem w szpitalu, że musiała na równi z innemi choremi nosić obrzydliwy szlafrok płócienny »bez żadnego fasonu« — jak mawiała. Nie darmo kształciła sobie gust na bluzkach pani radczyni i innych elegancjach, nad którymi pracowały jej chude palce. Musiała sobie teraz ten post powetować i już głowa jej snuła marzenia o nowych, szykownych, choć tanich strojach, które sobie pospiesznie fabrykować będzie. Na szczęście w jej rodzinnym domu panowała teraz nieznana dawniej pomyślność. Po kilku latach zastoju wszczął się żywy ruch budowlany i ojciec, cieśla, miał dużo roboty. — Tej domowej obfitości i przysyłanym przez rodziców zapasom zawdzięczała, że pomiędzy skórą i kośćmi, które przyniosła do szpitala, narosło teraz trochę

mięsa i tłuszczu. Obie dziewczyny były rozradowane myślą o domu, o nadchodzących świętach, o zamierzonych robotach i zabawach. Zrzuciwszy ze siebie szpitalne mundury, czuły się już wyzwolone z pod władzy siostry Kasyldy i nie oglądając się na nią, serdecznie gwarzyły z Ireną, którą każda z nich znała dość długo, bo choroba jednej i drugiej należała do przewlekłych i wiele tygodni trzymała je w szpitalu. — Ten dowód przychylności z ich strony, był Irenie miłym, lecz uprzytomniał jej zarazem własną bezdomność. Jedna wraca do swoich zagonów, druga do swej maszyny i rozpoczną znów czynne, użyteczne życie. A ona co robi ze sobą? Gdzie i kiedy znajdzie znowu jakiś warsztat pracy dla siebie? Kiedyż będzie miała dach nad głową, kąt własny, spokojny, gdzie byłaby u siebie? Do tego, co było dotąd jej domem, wrócić nie mogła.

Od chwili, gdy jej plany upadły, gdy przestała rozważać, co ze sobą robi, coraz częściej stawało jej w myśli pytanie, co z nią zrobią? Do tej pory mogła sądzić,

że o niej zupełnie zapomniano. Była niby jakiś pakunek, który spadł w drodze z wozu i leży sobie w rowie przydrożnym. Może pamiętają o nim i wrócą po niego w swoim czasie? Może pilnują go zdaleka? A może też ta niepewność i to zapomnienie potrwa jeszcze i pół roku i dłużej — zależnie od przypadku. Niema interesu przyspieszać rozstrzygnięcia tej kwestyi, ale czyż ma wisieć tak między niebem a ziemią, bez celu, bez planu, biernie czekać, co los przyniesie i szukać sposobu zabicia długich, pustych dni i nocy — wypełnionych wspomnieniem rozwianych złudzeń, lub przeżywaniem narzeczian przyszłych męczarni — i tylko tem żyć?

Sypiała coraz mniej, choć sen był dla niej teraz upragnionem dobrodziejstwem. Bardzo wczesnym rankiem wychodziła na koniec korytarza i przez okno patrzyła, jak grabarze wynosili jedne za drugimi zwłoki zmarłych w ciągu nocy chorych. — Szpital Cierniowej Korony był olbrzymi, rozmieszczony w kilkunastu większych i mniejszych budynkach, a droga do prosektoryum

prowadziła pod oknami pawilonu chirurgicznego. Co noc śmierć zbierała plon i co rano do najpilniejszych czynności należało uprzątnięcie zastygłych trupów. Była to robota powszednia, jak każda inna, jak zmywanie sal operacyjnych i czyszczenie narzędzi.

Widok ten nie budził też w niej uczucia grozy ani odrazy. Oswoiła się z nim, jak wogóle ze zjawiskiem śmierci, a tutaj nauczyła się patrzeć na nią nietylko jako na prostą, nieuchronną konieczność, lecz wielokrotnie jako na dobrodziejstwo. Wieczny odpoczynek tym, którzy żyć już niezdolni, sen nieprzerwany tym, którzy cierpią! — szeptała, odprowadzając wzrokiem te długie, otwarte pudła, całunem nakryte.

Chwilami przerażała ją własna apatya. Były dni, że potrzebowała wysiłku woli, aby odpowiadać na pytania lub kilka zdań zamienić w rozmowie. Czasem zupełnie niedokładnie zdawała sobie sprawę z tego, co mówiono wkoło niej — a jeszcze niedawno przecież tak żywo brała do serca wszystko, co się przed jej oczami działo!

Nie poruszyło jej to nawet na razie, gdy wśród chorych i służby gruchnęła wieść sensacyjna, że w nocy przywieziono do sekcyjki dwie ofiary zagadkowego morderstwa, dwóch mężczyzn, których nieznanymi napastnikami położono trupem równocześnie w jednej cukierni przy Marszałkowskiej ulicy.

Co żyło, co ilekroć trzymało się na nogach, spieszyło do sekcyjki, oglądać świeże trupy, o których napewno będą pisały »Kuryery«.

Czytelnictwo bardzo słabo było rozwinięte w żeńskim oddziale chirurgicznym Cierniowej Korony; gazety były wprawdzie bardzo skwapliwie poszukiwane, ale tylko do zawijania grzebieni, do wykładania szufladek w nocnych stolikach, słowem, do gospodarskiego użytku. Było tego towaru tak mało, że na numer ranny już przed wieczorem znalazł się popyt, a całych dwudziestu czterech godzin nie przeleżał żaden na miejscu. Co do treści, to tylko wtedy o nią pytano, gdy jakiś wypadkowy chory lub świeżo z ulicy przyniesiony nieboszczyk

wywołał zaciekawienie. Wtedy wkóło czytającej zbierał się cały babski sejmik. Tak było i tym razem. Nazwiska zabitych wskazywały, że zabójstwo wynikało z pobudek politycznych. Ogółowi chorych nie były te nazwiska znane, Irenie jednak nasunęły pewne przypomnienie. »Może to wpłynie na zmianę sytuacji«, pomyślała, lecz nie zdradziła swych wrażeń najbliższemu drgnieniem twarzy, ani głosu.

A tymczasem procesja do sekcyjki trwała nieprzerwanie. Człapały się tam w swych szpitalnych pantoflach chore, a między nimi jedna z pierwszych Szurkowa. Szli gromadnie mężczyźni z parteru; posługacze i posługaczki pod ładą pozorem odrywali się od swych zajęć na chwilę, by biedz i choć okiem rzucić na tę osobliwość dnia. Piękna felczerka bardzo zaaferowana, cokolwiek przybladła z wrażenia, ledwie zdołała się przebrać w swój biały fartuch, czempredzej przybiegła do Ireny i skwapliwie wypytywać ją zaczęła, czy nie pójdzie? czy nie wybrałaby się z nią razem po opatrunkach, bo przedtem doktorzy nie

pozwolą chodzić do trupiarni, ale potem to ona koniecznie iść musi, bo jest szalenie ciekawa. Te, które już tam były, podniecały ciekawość innych opowiadaniem swych obserwacji. Jeden z nieboszczyków miał być bardzo piękny, elegancki mężczyzna; drugi brodaty, straszny.

Nawet kaleki nie wytrzymały i utykając na kulach, jedne za drugą ciągnęły do warszawskiej »morgi«. Irena oczywiście nie poszła. Widowisko nie nęciło jej — jak innych. Sam fakt może więcej niż inne zainteresował, ale nie miała ochoty stwierdzać go osobiście. Tymczasem wpadła na schody zdyszana Szurkowa z wieścią jeszcze sensacyjniejszą niż poprzednia: przy zwłokach aresztowano kilkunastu ludzi, których również widocznie ciekawość przygnała do prosektoryum z miasta. Odbywał się odwrót w popłochu! Zaroilo się na chodnikach od modrych szlafroków, wypłoszonych całkiem nieusprawiedliwionym zresztą lękiem. Przez okno widziała Irena tę gromadną ucieczkę. Owczy pęd gnał baby w tamtą stronę, a teraz pędził je z powrotem. Co

je zaciekawiało wtedy? Czego lękały się obecnie? nie umiałyby wyjaśnić. Toć żadna z tych operowanych kalek o uczestnictwo w zbrodni podejrzana być nie mogła. Głucha gra instynktów objawiała się w nich nieraz w owej dziwnej kombinacji, panicznego lęku i namiętnego upodobania do rzeczy strasznych.

Za kobietami uchodzili i mężczyźni, ale już tylko z umiarkowanym pośpiechem. Znać było, że ci — na domiar — bali się uciekać. — Jako ostatni, zamykając pochód, szedł zwolna rudy suchotnik z ręką na temblaku. Teraz, niewidziana przez niego, mogła mu się przyjrzeć dokładnie. Miał twarz szaro-zieloną, zdawało się, że ledwie powłóczy nogami. Ten nie z ciekawości poszedł i nie przez ostrożność wracał. Wyglądał, jakoby spełnił jakąś ciężką służbę, która mu już obrzydła. Jak pies obity batogiem, co to łeb zwiesił i szuka sobie jakiegokolwiek barłogu na łogowisko, by dać skórze i kościom wypoczynek.

Felczerka nie zdążyła jeszcze odbyć projektowanej wycieczki do trupiarni, gdy

wieść o aresztowaniach zahamowała nagle żywiołowy prąd ciekawości. Bardzo żałowała, niby się wahała, nie mniej miała ochotę iść, mimo wszystko.

— Wie pani, ja się nie boję — mówiła do Ireny, zdejmując swój biały fartuch i znowu poprawiając fryzurę przed jej lustrem.

— Cóż mi zrobią? Prawda? Ale co pani na to powie? moja pani? Ktoby się tego spodziewał?

Irena nie rozumiała dokładnie, do czego odnosi się to zdziwienie: do zabójstwa, czy do aresztowań? Nie odpowiedziała też wcale, co zresztą było zbyteczne, bo felczerka mówiła bez przerwy:

— Pani wie, kto to był? Pani nie знаła tych ludzi?

— Nie, skądżesz?

Tamta zbliżyła się do niej i pocichu, półgłosem mówiła dalej:

— Ja tego jednego znałam, ale nie wiedziałam, że on taki. — On się o mnie starał; — ale jak mi powiedzieli! Jezus, Marya! ani patrzeć na niego już nie chciałam.

A taki był piękny, szykowny, elegancki mężczyzna! Szczupły brunet, a trzeba pani wiedzieć, że ja pasyami lubię brunetów.

To, oczywiście, było powszechnie wiadomem, gdyż w całym oddziale dwóch tylko było brunetów, których piękna felczerka prawie zupełnie w spokoju zostawiała: doktor Dłutowski, bo się go bała, i posługacz Maciej, bo ją niemiłosiernie wyszydzał. Pasya do brunetów bynajmniej nie pociągała za sobą obojętności dla blondynów.

— Ja jednak pójdę; co pani mówi? — pytała. — Pani nie pójdzie?

— Nie; po co? O mnie się żaden z nich nie starał — odparła Irena, z miną obojętną i znudzoną, a dla przerywania rozmowy sięgała po książkę.

Nie zrażona bynajmniej, tamta namiętnie jeszcze:

— Ja wiem, wiem, ale tak przez ciekawość?

— Cóż tak ciekawego? Alboż to mało nieboszczyków można widzieć w szpitalu?

Poszła nareszcie — a Irena natychmiast odłożyła książkę. Od pewnego czasu wcale

czytać nie mogła; nie rozumiała zdań i wyrazów. Była jednak bardziej ożywiona niż zwykle i zaczęła rozmowę z panią Carpi, która dziś ze względu na chłodny i pochmurny dzień nie opuszczała pokoju. Za kilka dni miały się rozstać. Nic dziwnego, że Teresa z radością mówiła o porzuceniu szpitala, z którym wiązały się dla niej tak straszne wspomnienia.

Irena jednak z lękiem myślała o tej chwili, gdy opuści ją ta jedyna tu bliska i przyjazna dusza, a ona zostanie sama, a raczej gorzej niż sama; wiedziała bowiem, że przeznaczano jej na sąsiadkę panią radczynię, już otrzeźwioną po chloroformie i pokrzepioną po operacji, już znowu bardzo wymowną, imponującą i bardzo ze siebie zadowolnioną.

Zapowiedziała to siostra Kasylda, która raz po raz zachodziła dla nawiązania z obu kobietami przelotnej pogawędki. Zajrzała i dziś. Sensacje dnia bynajmniej nie zdawały się jej interesować. Miała natomiast inne troski:

— Mój Boże! — mówiła ze szczerem

rozżaleniem — tyle było pięknych dni, a teraz, kiedy się zbliża rezurekcja, tak się pogoda zmienia! Codzień modłę się, żeby Bóg dał pogodę na sobotę, bo to taki uroczysty dzień i taka piękna miała być procesya!

Mówiła to ze słodkim rozmarzeniem, twarz jej promieniała na samą myśl oczekiwanego święta, znać było, że tam, w owej kaplicy szpitalnej, u stóp ołtarza, przeżywa ona najpiękniejsze momenty swego życia, chwile rzeczywistego wniebowzięcia.

— Jeżeli będzie ładnie, niech pani pójdzie z nami — zachęcała Irenę, z młodocianem ożywieniem. — Zobaczysz pani, jak to ślicznie u nas się odbywa!

— Pójdę, siostrze; pójdę bardzo chętnie — odpowiedziała.

Istotnie, postanowiła iść, choćby dla przechadzki, dla ruchu i powietrza, dla zmiany wrażeń, w ten smutny, samotny, świąteczny wieczór, który jej tu spędzić przyjdzie.

Wynurzenia siostry Kasyldy i jej pogodny, słodki nastrój świadczyły, jak szczer-

nie dusza jej odgradziła się od wszelkich doczesnych znikomości zaprzatających głowy zwykłych zjadaczy powszedniego chleba; równocześnie bowiem panowała w pawilonie atmosfera burzliwa, ponura, ciężka. — Chorzy i służba wciąż jeszcze pod wrażeniem grozy, wyniesionem z trupiarni, zaintrygowani, zaniepokojeni, lęklwym szeptem wymieniali po kącikach urywkowe informacje i gorączkowe pytania. Lekarze byli posępni, zgnębieni, jak w tych rzadko zresztą zdarzających się momentach, gdy im chory konał na stole operacyjnym.

Dziś nie zdarzył się żaden taki wypadek, a jednak grobowe milczenie panowało przy opatrunkach, i — choć roboty było nie wiele — rozchodzili się zwolna, ociągając się, jakby na coś jeszcze czekali, lub wazyli jakieś trudne do rozstrzygnięcia sprawy.

Wszechwiedząca Szurkowa, u której ciekawe pacjentki nieustannie czyniły wywiady, była bardzo tajemnicza i zagadkowa, jak pytyjska wyrocznia:

— To są takie interesa, co to lepiej

o tem nie gadać. Poco mówić? Poco pitać? Czy to każdy ma wszystko wiedzieć?

Ten nastrój przetrwał do wieczora. Przyczyniała się do utrzymania go i ta okoliczność, że zwykły ruch szpitalny znacznie się zmniejszył i nie działo się nic takiego, coby mogło zatrzeć wrażenia poranne i uwagę zwrócić w inną stronę. Ani poważnych operacyi, ani nowych chorych, ani wstrząsającego widoku konania i śmierci w ostatnich dniach nie było.

W atmosferę szpitalnej nudy tylko kolejarzowa wносиła trochę hałasu i ruchu. Była już dość dawno po operacyi, ale wcale jeszcze do zdrowia nie wracała, może dlatego poniekąd, że sprawa była poważniejsza niż się zdawało, ale głównie z tej przyczyny, że się bardzo niespokojnie zachowywała. — Nie słuchała nikogo, gadała bez przerwy z sensem czy bez sensu, co wieczór niemal zrywała opatrunki i kazała wzywać doktorów, by je zakładali na nowo, aż wkońcu wzbudziła podejrzenie, że albo jest wogóle niespełna rozumu, albo też pomieszało się jej w głowie od morfiny, którą

jej trochę zbyt hojnie dla uciszenia krzykliwej baby aplikowano.

Pani radczyni, która była jej najbliższą sąsiadką, nieustannie skarżyła się na tę ordynarną osobę nie szanującą spokoju chorych, z czego wynikały chroniczne między obu kobietami kłótnie, prowadzone przez kolejarzową z humorem i werwą, wcale nie źle świadczącą o jej stanie zdrowia i umysłowej równowadze. Chore, słuchając jej przycinków, bawiły się doskonale, a ona była z tego rada i dumna, że wszystkich w ruch wprowadza, że wszyscy koło jej łóżka się kręcą i nią zajmować się muszą. Któż jej broni używać sobie szpitala na koszt wiedeńskiej kolei? Nie często jednak udało jej się dokazać tyle, by któregoś z doktorów w niezwyklej porze ściągnąć z miasta na powtórny opatrunek. Zakonnice najczęściej wzywały w takim wypadku doktora Kryskę, który przy stryju, księdzu, w szpitalu mieszkał, a dzięki swej nadzwyczajnej pobożności cieszył się szczególnymi łaskami szarytek. Nie miał on właściwie żadnego prawnego tytułu do praktykowania pod

Cierniową Koroną, to też w zwykłej porze operacyi i opatrunków niemal nigdy się nie pokazywał. Widywano go jedynie o zmroku i to przy tych chorych, których inni lekarze za nieuleczalnych ogłosili, lub którzy naglej potrzebowali pomocy.

Cichutko, pokornie, ze swą długą brodą kapucyńską, przemyczał się po sali; ukradkiem sięgał po watę i bandaże, żegnając się dla dodania sobie otuchy, a oglądał się przy tem poza siebie, czy go kto nie przydybie, doskonale zdając sobie sprawę, jak dalece to jego konspiracyjne, a bezprawne grasowanie po pawilonie drażnić może kolegów. Zaslaniała go wszechpotężna protekcya siostr i kapelana, a kierowała nim niewątpliwie miłość dla zawodu i dla cierpiących bliźnich. Niektóre pacjentki wierzyły mu więcej niż wszystkim innym, ze względu na jego pobożność. Nie widziały w nim zwyczajnego lekarza, lecz jakiegoś świętego pustelnika, potrosze cudotwórcę, typ przejściowy między nowoczesnym medykiem, a znachorem dawnych czasów. Do których z czasem oswoili się z jego osobą;

zdarzało się nawet, że brali go do pomocy, gdy w niezwykłym czasie wypadło robić operację, a trudno było z miasta ściągnąć asystentów.

Mile widziała go przy swem łożu i pani radczyni, która poza chirurgiczną kuracją potrzebowała jeszcze pomocy lekarskiej na pół kopy cierpień wewnętrznych i nerwowych, które ze sobą z Ozorkowa przywiozła, by wszystko to hurtem w Warszawie wyleczyć. — Doktor Kryska obficie zasilał ją receptami, które starannie pod poduszką przechowywała, a potem posyłała przez »siostrę« do apteki szpitalnej, gdzie je przyrządzano darmo. — W Ozorkowie przyszłoby słono płacić za to — mówiła sama do siebie. — Wogóle robiła pod Cierniową Koroną znakomite oszczędności.

Tego wieczora snuł się doktor Kryska po szpitalu już dobrą godzinę. Widziała go Irena, idąc o zmroku na balkon, dla zaczerpnięcia powietrza i ochłodzenia rozgrzanej głowy. Przez cały dzień nie wychodziła z pokoiku. — Wołała zejść ludziom z oczu i raczej nikogo o nic nie py-

tać, niż być przez kogoś wypytowaną. Miała ona własne źródła informacyjne i do tych sięgnąć zamierzała.

W południe były dzieci, jak zwykle, przyniosły obiad. Prócz »karpiątek«, jak teraz nazywano dzieci pani Carpi, była i Lilcia, lecz od niej żadnej wiadomości nie mogła wydobyć.

— Mamusia mówi, że jutro przyjdzie, a do jutra może będzie coś wiedziała. Do-
tąd mamie się wydaje, że nikt na to nie liczył i nikt się jeszcze nie domyśla, kto mógł to zrobić i co z tego wyniknie. — Powiedziała też:

— Lepiej, że głównego świadka już nie ma, ale dużo na tem budować nie można.

To wszystko szepnęła jej dziewczynka do ucha, objąwszy ją za szyję, nie chciała bowiem nawet przed Stasiem i Basią zdradzić poważnej misyi, którą ją zaszczycono.

Od tej chwili wciąż wzmagало się gorączkowe podniecenie Ireny, które trudno byłoby jej ukrywać i dlatego wołała wzroku obcych unikać. Zresztą ciągle nasłuchiwała, co się dzieje na dole, pod jej pokojem. —

Nie mając do tego żadnej podstawy oczekiwała jednak jakiegoś dalszego ciągu. Jeżeli jest ktoś, kto czuwa, pamięta, broni — to może na tem się nie skończy — myślała. Z tą myślą wyszła wieczorem na balkon. Po chmurnym ranku nastąpiła ulewa, potem mżył drobny deszczyk, a teraz już tylko wilgotne opary wypełniały powietrze i mrok wieczorny stawał się przez to bardziej gęsty i posępny. — Lampy elektryczne zapalone na szpitalnym dziedzińcu wyglądały jakgdyby wata otulone, na chodnikach tu i owdzie błyszczały w ich świetle małe szyby wody; niebo bezgwiezdne, szarą oponą chmur powleczone i nisko nad ziemią zwisłe, pokrywało świat, niby sklepienie wilgotnego lochu. — Z balkonu widać było boczną furtkę szpitala i część pustej za parkanem ulicy. Irena nabiła sobie głowę, że stamtąd ktoś przyjdzie. — Nie myliła się. — Zaledwie pięć minut stała na balkonie, oparta o poręcz, ze wzrokiem utkwionym w stronie ulicy, gdy furtka cicho otworzyła się i weszło czterech mężczyzn, w szynelach, z bronią w ręku. —

Szli krokiem miarowym, rozpryskując wodę i błoto ciężkimi butami. Dwu zatrzymało się przy drzwiach od kuchennych schodów i tam stanęli na straży. Dwaj inni okrążali pawilon, kierując się w przeciwny koniec, do głównego wejścia.

Jak gdyby poczuła świst nahajki na plecach, skurczyła się i jęknęła głucho pod nagłym wrażeniem przestachu. Natychmiast jednak zerwała się wyprostowana, pędem przebiegła jadalnię, wielką salę, korytarz, wpadła na schody i tam, na poziomie piętra, oparta o ścianę, stanęła. Widziała przez okno, jak od strony głównego gmachu szło jeszcze sześć szyneli, sześć karabinów, a za nimi jakiś mundur wyższej rangi. Słyszała, jak otwierały się drzwi na dole, widziała, jak ta zbrojna eskorta rozdzielala się i zostawiwszy na przejściach posterunki zanurzyła się w głębi korytarza.

Stała się cała wzrokiem i słuchem; nieruchoma, jak gdyby wrosła w ziemię, czekała.

Trwało to bardzo długo. Z korytarza dochodziły szmery, szepty, zamykanie i otwie-

ranie klamek, brzęk szabli i łoskot ciężkich kroków po kamiennych płytach posadzki. — W końcu drzwi się otwały.

Najprzód dwa karabiny, potem jeszcze dwa, potem ukazał się Jerzy.

Szedł sam, choć z wysiłkiem. Nie przyjął pomocy tych, co go podporać chcieli.

Głowę, obandażowaną jeszcze trzymał wysoko i wyglądał tak, jakgdyby był wodzem tych zbrojnych ludzi, jak gdyby nie oni jego, lecz on ich prowadził. We drzwiach odruchowo rzucił okiem na schody w górę i na sekundę spotkał się ze wzrokiem Ireny. W tym błysku chwili cztery źrenice wpiły się w siebie spojrzeniem, które zmuszało się do milczenia i milczenie nakazywało. Jerzy podniósł rękę do czoła, jak gdyby chcąc bandaż poprawić, lecz gestem tym nieznacznie oddał jej ukłon wojskowy. Szedł jak na bój. Potem spokojnie oczy odwrócił i nie wstrzymując kroku ruszył dalej. Był absolutnym panem swych ruchów, swych oczu, swych nerwów i uczuć. Na twarzy jego malował się zupełny spokój i skupiona siła, a wzrok patrzył bystro,

mądrze, w jakąś odległą przestrzeń, jakby poza tem wszystkim, co się tu w pobliżu dzieje, widział jakiś jedyny punkt uwagi godny, w którym cała jego myśl i wola utkwiała. Za nim szli jeszcze zbrojni, potem matka z gołą, siwą głową, blada, tragiczna lecz z suchemi oczami — za nią rudy.

Gdy tę wstrętną postać ujrzała Irena, cofnęła się o kilka stopni w górę. Stała teraz w oknie z twarzą przy szybie i odprowadzała wzrokiem odchodzących.

Coraz dalej — dalej; mgła wieczorna ich przesłania, to znów wynurzają się na światło latarni, które błyska w stali bagnetów i oświetla dwie białe, ruchome plamy. Ta jedna głowa białym bandażem, ta druga siwym włosem okryta. Coraz mniej widoczni, skręcają, wchodzą na schody, już zniknęli we drzwiach wejściowego budynku.

Nagle stało się ciemno, wszystko zgasło, przepadło — nic nie widziała, nic nie czuła.

Zbudziła się na swem łóżku. Oczy jej padły na biały kornet siostry Małgorzaty i spotkały się ze spojrzeniem jej chabro-

wych oczu, teraz smutnych i jakby wilgotnych. — Obok niej w białym fartuchu, ze swą długą, kapucyńską brodą, trzymając ją za puls, stał doktor Kryska. — Ledwie trochę rozeszła się ta mgła czarna, która jej świadomość zaćmiła, przypomniła sobie wszystko i znów widziała tylko te dwie jasne, ruchome plamy, sunące wzdłuż szpitalnego dziedzińca. Ta jedna biała, ta druga siwa, a wkoło nich żółtawe błyski światła na ostrzach bagnatów. I znowu chłód ją przejął, mrok oczy zasłonił, a tych dwoje jęło ją cucić, trzeźwić, by znów w świadomości jej wywołać obraz tego strasznego orszaku, który idzie — idzie — niknie — i te dwie głowy, ten siwy włos staruszki, te bagnety!...

— Ach! czemu wy mnie dręczycie? — jęknęła — czemu ja mam żyć?

Teresa usłyszała z jej ust swoje własne, tak niedawno przez nią wyrzeczone słowa. — Ona teraz była najbliższej zemdłonej, siedziała tuż obok, podczas gdy u nóg łóżka doktor Kryska z siostrą Małgorzatą cichym szeptem o czymś radzili.

— Panno Ireno — rzekła Teresa, trzymając jej rękę — a może pani powinna żyć jeszcze dla niego?

Spojrzała na nią i zastanowiła się.

— Ach! to prawda. Przecież może jeszcze przyjść ten szczyt marzeń. Katorga! Dziesięć lat najmniej, może piętnaście, ale prędzej bezterminowa, a i to w drodze łaski!

Wargi jej drgnęły kurczowo jakąś parodią gorzkiego uśmiechu.

— Nic niema bezterminowego, ani nic niezawodnego, ani nic niemożliwego, póki człowiek żyje jeszcze. Wszak ty wiesz — dziecko — (mówiła tak czasem do niej w chwilach rozczulenia), że i ja wróciłam z za grobu, a wrócić nie chciałam. I już pogodziłam się z życiem, a może je nawet na nowo pokocham.

— On żyje jeszcze — myślała Irena. — Może to jeszcze potrwać tygodnie, miesiące lub — lata. A w ciągu tego długiego czy krótkiego czasu, czy i gdzie ja go szukać będę mogła? Tu był tak blisko — a jednak....

Ujrzała w myślach jakąś bezmierną, śnieżną płaszczyznę, a wskrósł niej długą, szarą, ruchomą smugę. Aresztanckie płaszcze jeden za drugim, jeden obok drugiego brną i brną szlakiem udeptanym przez lat sto i więcej — na wschód, na północ, na daleki kres łądu, gdzie leżą kości ojców, dziadów, pradziadów. — Tu walczyli — tam ginęli. Wielki, biały grób rodzinny, gdzie warstwami kładzie się pokolenie za pokoleniem. Wielkie serca mrozem ścięte; wielkie nadzieje w śniegu zagrzebane!

— Tak, chyba już tam tylko zobaczę go kiedyś znowu — myślała.

Wyrwała ją z zamyślenia Siostra Małgorzata. Przeprosiwszy panią Carpi, usunęła ją na chwilę i nisko schylona, nad uchem Ireny, szepnęła zarumieniona, zmieszana, ze spuszczonej oczami:

— Jest list do pani.

— Co? list?! — od... od kogo?...

Cała drżąca, prawie bez tchu, ledwie wyszeptać mogła to pytanie.

— Proszę tylko nic... nikomu... ani słowa!

Zakonnica palec na usta położyła.

— Chory z dołu... — zacięła się i zaczęła znowu:

— Kiedy przyszli, prosił o zmianę opatrunku. Widział doktora Kryskę i jego prosił. Pod bandażem doktor namacał karteczkę.

— Siostrze Małgorzacie oddać bandaż. Ona wie, gdzie się to chowa — powiedział.

A doktor zrozumiał i zatrzymał.

— Dopiero kiedy odeszli, pokazał mi. Zaczyna się od pani imienia; to list do pani.

Irena złożyła ręce:

— Dajcie! dajcie! gdzie?

Szarytka skinęła na doktora, ten sięgnął pod fartuch, do jakiejś głęboko ukrytej kieszeni i w dwóch palcach podał Irenie tak zwany w języku więziennym »gryps«

Oboje patrzeli na ten maleńki zwitek papieru, jak na jakiś nabój dynamitowy, przerażeni własną odwagą, zbyt jednak przejęci nieszczęściem tych dwojga, by się od narzuconej im misji uchylać.

— Tylko, żeby nikt nie widział — błą-

gała jeszcze zmieszana i strwożona Małgorzata.

— Nie teraz, nie teraz — prosiła, widząc, że Irena chce czytać. — Jak my pójdziemy i chore zasną. Nikt nie powinien wiedzieć. Chore są ciekawe; pani wie — i — są różne chore.

Miała zupełną słusność. Zemdlenie Ireny wywołało wielkie zainteresowanie i co chwila, gdy ją cucili, w odchylonych drzwiach ukazywała się jakaś głowa w białym czepku, jakiś modry szlafrok mignął, niby przechodząc mimo. — Gdy zakonnica przed ich natarczywą ciekawością drzwi zamknęła, ta lub owa przyciskała oko do dziurki od klucza. Już i tak sam fakt zemdlenia w związku z wieścią, że na dole byli żandarmi i kogoś zabrali, wzbudził domysły i komentarze, które mogłyby się okazać niebezpieczne.

Irena tedy kurczowo ściskając kartkę w ręce, którą schowała pod koldrę — cała w gorączce — czekała.

Wmusiwszy w nią jeszcze porcyę bromu, doktor i zakonnica odeszli. Została sa-

ma z panią Carpi i słuchała, rychło ustanie ruch w korytarzu. Zdawało się, że dziś chore wcale spać nie pójdą. Taki był dziwny, niespokojny i ciekawy dzień!

Siostra Kasylda, którą jakieś niezwykle zajęcia, może przygotowania do uroczystości religijnych, trzymały przez kilka godzin poza pawilonem, zjawiła się nareszcie i całą mocą swej powagi zapędzała chore do łóżek i do milczenia zmuszała:

— Wszystko w ręku Boga! Wszystko Jemu pozostawić trzeba! Przeżegnać się i spać! — wołała.

— Czego się bać? Bez woli boskiej włos z głowy nie spadnie!

— Nie trzeba było chodzić do trupiarni, jeśli się przyśnić może. Pani radczyni — oto — nie boi się.

Ale źle trafiła, bo właśnie pani radczyni się bała.

— Sostro Kasyldo! — mówiła omdlewającym, prawdziwie szpitalnym głosem — podobno na dole byli żandarmi. Mówią, że może być rewizya. Ja się okropnie boję re-

wizyi. To taka straszna rzecz! Jaby nie przeżyła! Ja już mam bicie serca.

— Niech się pani uspokoi, rewizyi nie będzie na pewno. Wiedzą, że tu wszystko jest w porządku. Niech pani śpi spokojnie.

Sama nie była pewna, czy wszystko jest w porządku, bo ta historia z zemdleciem Ireny bardzo jej się nie podobała. Nie zadrżała do niej wcale; poprzestała na sprawozdaniu Siostry Małgorzaty.

Pani radczyni zażyła laurowych kropli i to wystarczyło na razie.

Wreszcie nastała cisza:

— Iro! — światło moje! — czytała Irena — wiem, że cię już nie zobaczę. To dobrze, że wtedy, gdy byłeś tu u mnie, nie wiedzieliśmy o tem; dobrze, że żegnałeś mnie ze śmiechem. Taką mi zostałeś w oczach; z twarzą śmiechem rozjaśnioną, ze spojrzeniem pogodnem, ufnem, taka dzielna, mężna. Taką chcę cię widzieć zawsze. Nie znoszę myśli, że ty płakać możesz. Nie płacz nademną; nie płacz nigdy. Łzy to trucizna; w nich rdzewieje hart, topnieje siła. A trzeba siły i hartu mnie, tobie, tym, co są, i tym,

k którzy będą. Ja dużo myślałem o tem wszystkim od tego wieczoru. Wtedy dopiero zaczynałem na nowo myśleć. Nie zdążę ci tego wszystkiego powiedzieć, ale twoja myśl z moją na jeden ton nastrojona sama to odkryje. — Nie poświęcaj się na »ofiary cichą«; nie bądź męczennicą, ani żalobną płaczką, ani rozplakaną brzozą cmentarną. Nie chcę, nie zniosę tego. Idź w świat! Możesz jeszcze. Ja wiem, że możesz. Nie potrzeba ofiar; nie wierz temu. Ofiary są nieuniknione, ale potrzebne nie są. Każda z nich jest naprawdę omyłką liczebną. Gdy ich za dużo, znaczy, że omyłek było za dużo, że nie robiło się tego, co należy, tak — jak należy, że trzeba robić inaczej w przyszłości. Mądrzej, przezorniej, umieć wytrwale czekać, silnie i planowo wykonać. — Nie męczeństwa potrzeba — lecz zwycięstwa. — Męczeństw było dosyć.

Kto ginie — to ginie. Nie trzeba, by na jego grób — jak na stos pogańskiego rycerza szły jego konie, jego broń, i wierny giermek, i żona. To barbarzyńskie marnotrawstwo! — Ja mogę już tylko umrzeć

ale nie chcę cały umierać. Najlepszą częśćkę mojej duszy ty weź w ręce. Znasz ją; rozkwitała i dojrzewała w żarze tego wielkiego uczucia, które już było naszą wspólną miłością, zanim się z niej zrodziła nasza miłość wzajemna. Tę częśćkę mej duszy weź, niech ona żyje. Ty jej, ty mnie dasz nieśmiertelność! Niech żyje, niech się doskonali, rośnie, mężnieje, niech zwycięży! Nie szukaj mnie za kratą, nie szukaj w grobie, nie szukaj we wspomnieniu niepowrotnych chwil. Szukaj mnie w tej wielkiej, pięknej przyszłości, którą żyłem, którą będę żył do ostatniego tchnienia. Tam ja będę zawsze z tobą; tam mnie znajdziesz, tam będzie nasze wielkie, wspólne szczęście.

Już cię muszę pożegnać. — Byłem dziś sam przez całą godzinę, ale — słyszę — on już wraca. Zawsze zamykam oczy, żeby go nie widzieć. Zamkniętymi oczami widzę ciebie. Twoje usta, uśmiechem kwitnące, światło zapalone w twych słodkich, mądrych, twych ukochanych oczach, na twarzy odwagę, ufność, miłość, co mocna — nie jako śmierć, ale jak zmartwychwstanie«...

Na tem urywało się drobne, gęste piśmo, pokrywające karteczkę. Może właśnie wtedy »rudy« powrócił ze swej służby w trupiarni, by zająć stały przy łóżku Jerzego posterunek. A potem było to niespodziewane spotkanie na schodach i to spojrzenie, które potwierdzało treść listu, jak pieczęć położona potwierdza testament. Tak, to jest jego ostatnia wola. Teresa miała słuszność, trzeba żyć dla niego.

— Nie chcę — ale muszę i powinnam — mówiła w duszy, do nakazu Jerzego dodając nakaz własny, dla spotęgowania swego wysiłku woli.

Nie wolno omdlewać, upadać pod ciężarem życia, nie wolno być słabą, wątpić, cierpieć. Trzeba myśleć, pracować i iść dalej, naprzód, do celu.

Przedewszystkiem trzeba się wyrwać stąd, tu ze szpitala, z pod »Cierniowej Korony«. Tu ona nic nie robi. A może tu nikt nic nie robi? — Nie złe zmniejszać i łagodzić, lecz korzenie zła wyrывать trzeba. Nie ulgi w cierpieniach szukać, lecz ich źródła — i te zatamować. Choćby jedno!

Ileż z takiego jednego sączy się łez, krwi i zgnilej ropy!

Nazajutrz rano odwiedził ją Szczygłowski. Powiedziano mu o zemdleńiu pacjentki. Rozumiał przyczynę; przeczuwał, że zobaczy ją wzburzoną, że powita go gorzką skargą i znów zarzuci bezduszne okrucieństwo lekarzom, którzy sumiennie leczą nawet wtedy, gdy chodzi o to, by zdrowych na śmierć wydawać. On sam mówił to do siebie wczoraj, kiedy wychodził ze szpitala, już wiedząc, co się stanie; i ta myśl szła za nim przez cały wieczór, jak urągowski, wyrzut, groźba.

Zastał ją niespodziewanie spokojną. Leżała, gdyż tak jej nakazano; zresztą po namyśle doszła do wniosku, że tak będzie lepiej i dla jej planów i dla upozorowania wczorajszego zemdleńia chorobą. Zapytała go tylko:

— Wiedzieliście wczoraj, że tak będzie?

— Tak.

— Nie mówiliście nic o tem!

— A czy można było mówić? Można

było liczyć na pani nerwy, siłę i zimną krew?

Spuściła oczy, trochę zawstydzona swą słabością, a potem, choć myśli jej właściwie już innym teraz szły biegiem, nie wiadomo czemu zawróciła do dawnego toru i z odcieniem goryczy rzekła:

— Ale w każdym razie kuracya wam się udała. Znowu jeden uzdrowiony szpital opuścił.

Szczygłowski drgnął, jak gdyby ukłuty w otwartą ranę.

— Oczekiwałem tej wymówki. — Niech mi pani jednak powie; gdybym na początku tej kuracyi przyszedł do pani z kategorycznem pytaniem: Leczyć czy zabijać? Gdyby pani wiedziała, że święcie zlecenie jej spełnię, czy odważyłaby się zawyrokoować: Zabić?

— Nie! — odpowiedziała poprostu.

— A może nie powiedziała by pani tego ani wczoraj, ani dziś nawet. Ale wczoraj on już sam był panem swej woli, a takiej woli nie objawił.

— Ja wiem, — odpowiedziała — nie myślał o tem.

— Wczoraj, podczas opatrunku tak się wszystko rozpiechło, że byliśmy przez chwilę zupełnie sami. Prosił mnie wtedy o ołówek i kawałek papieru...

Skinęła głową:

— Tak jest, dostałam.

Zamilkła, przetarła oczy i powiedziała jeszcze:

— To bardzo mocny człowiek; — tacy nie powinni ginąć — dokończyła głosem, w którym drżały powstrzymane całą siłą woli łzy.

— A może nie zginie; — i doktor mówił jej dalej o ludziach, których uważano za straconych, a którzy wstawali z martwych, wyrastali ponad głowy swych wrogów i imię swoje wielkimi głoskami zapisywali na kartach dziejów.

Cytował dawne i dalekie, cytował i bliższe fakty. Słuchała i myślała o słowach Jerzego:

— Szukaj mnie w tej wielkiej, pięknej

przyszłości, którą będę żył do ostatniego tchnienia.

Wstępowała w nią moc i spokój ducha.

Jeszcze dwa dni spędziła w łóżku, odgradzona swą mniemaną, czy istotną chorobą od otoczenia, gdyż w porozumieniu z nią, doktorzy nakazali jej spokój szanować, obcych od niej usuwać, nerwów oszczędzać.

Spędziła je w milczeniu, w skupieniu, nateżonej pracy myśli, pchniętej w nową kolej przez wyraz woli Jerzego.

Odwiedzali ją najbliżsi; Bronka miała teraz więcej czasu, więc obie z Misią prześadywały codzień dość długo przy jej łóżku, wychodziły dopiero o zmroku; pielęgnowały ją.

Dopiero w sobotę popołudniu zanim pani Carpi wyprowadziła się ze szpitala, wstała i Irena.

Spełniły się marzenia siostry Kasyldy; około południa już zajaśniało słońce, a wieczór był przecudny.

W pawilonie odczuwano zbliżające się święto. Na sali stało się względnie pusto

i cicho. Służba nawet, wyczerpana postami, zmęczona krzątaniem około wypisujących się chorych i porządkami przedświątecznymi — zaczynała oddychać.

W bocznym pokoiku dogorywała Ziółkowska. — Dziś popołudniu, gdy już rozeszli się doktorzy, zerwała wszystkie opatrunki z otwartej rany i wyrzuciła na środek pokoju. Zakonnice stanowczo utrzymywały, że czyniąc to, była już zupełnie nieprzytomna; nawet nie dopuszczały myśli, by ta pobożna, zrezygnowana męczennica miała się w końcu targnąć na resztki dogasającego życia.

Irena miała jednak co do tego pewne wątpliwości. Gdy wstała i ubrana przeszła po wszystkich zakątkach pawilonu, aby zobaczyć, jakie w ciągu tych dni zaszły zmiany, zajrzała i do pokoiku Ziółkowskiej, dała jej pić, zamieniła z nią parę słów:

— Widzi pani, jak ja się długo męczę — jęknęła do niej słabym głosem chora.

Teraz już męka się kończyła. Oczy zachodziły bielmem i ledwie dostrzegalny ruch

klatki piersiowej zdradzał jeszcze resztki oddechu.

W końcu i to ustało; twarz skurczyła się, stężała — wyprężyły się członki i masa schorowanego ciała zastygła, jako martwa bryła żółtawego wosku. — Była cała koloru tej gromnicy, którą zapaloną trzymano w jej bezwładnych dłoniach.

Obie zakonnice na klęczkach, przy jej łóżku, odprawiały litanie i pacierze; nieliczna garstka chorych, towarzysząc im, modliła się o zbawienie tej udrećzonej duszy.

Irena uklękła w progu, oparła głowę o drzwi i do ostatniej chwili nie spuszczała oka z konającej. Doznawała ogromnej ulgi widząc, że nareszcie zbliża się ostatnia chwila i wieczny sen. — Ileż razy w ciągu tych kilku dni i nocy, które spędziła z nią w jednym pokoju, sądziła, że patrzy już na ostatnie drgawki tej nieszczęśliwej. Teraz nareszcie umarła naprawdę, zabierając ze sobą do grobu zdumiewającą zagadkę swego niewytłomaczonego trwania, na przekór wszelkim rachubom prawdopodobieństwa i możliwości.

I jej więc także to wielkie święto wiosny, święto zmartwychwstania przyniosło ukojenie i ulgę!

Irena wstała, poszła jeszcze raz do swego pokoju, by okryć ramiona grubą chustką wełnianą i zeszła po schodach na dół. Z Teresą pożegnała się już przed godziną; teraz Stasia zaścielała świeżo łóżko pani Carpi, sposobiąc je dla pani radczyni.

— Siostró Kasyldo — zagadnęła Irena zakonnicę, przechodząc przez korytarz — idę z wami na rezurekcyę, poczekam na was na dziedzińcu.

Kasylda przyjaźnie skinęła jej głową; zdawało jej się, że nieszczęście, które dotknęło Irenę, dopełniło dzieła nawrócenia. Dziś modliła się przy konającej, teraz idzie na nabożeństwo — pomyślała i wzniosła oczy w górę:

— Dzięki Ci, Boże, za tę uratowaną duszę — westchnęła skrycie, szczerze uszczęśliwiona, że rezurekcyja tak pięknie się zapowiada, że święci się Imię Pańskie, a wola Boża staje się na ziemi i w niebie.

Wielkanoc w tym roku była późna, a wiosna bardzo wczesna.

Kwiecień istotnie odpowiadał tej nazwie, bo wśród świeżej, przeźroczystej jeszcze zieleni drzew i krzewów, tu i owdzie zjawiał się biały puch kwiatu wyczarowany promieniami słońca, po kilkodniowych deszczach wiosennych. Ziemia wilgotna, a ciepła dyszała tętnem kielkującego w niej życia, napełniała powietrze subtelną wonią rozoranej roli i zroszonej trawy.

Wiatr, który rano rozgonił chmury i oczyścił horyzont, teraz ucichł zupełnie, a najdrobniejsze nawet gałązki i szypułki listków zawisły nieruchomo, jakgdyby upojone ekstazą przed majestatem gwiaździstego nieba.

Na wieczorny błękit zwolna wynurzył się księżyc w pełni wiosennej i łagodnem światłem oblewał szczyty dachów, wieże i kopuły kościołów, ponad wrącem rojowskiem miejskiem, którego głuchy, nieprzerwany szum i pomruk tutaj dochodził stłumiony i daleki.

Irena pełną piersią wchłaniała wiosenne

powietrze, wzrokiem piła błękit i zieleni, wsłuchiwała się w wieczorną ciszę. Tak długo, tak długo musiała oddychać wyziewami jodoformu, patrzeć na rany i kalectwa, zasypiać przy kołysance rzeżeń i jęków!

Tutaj widzi już wszędzie wkoło siebie zmartwychwstające młode życie, a jakże pięknie musi być teraz na łąkach, w lasach, jakże pachnące są o tej porze sady wiejskie! Chciałaby teraz widzieć szerokie szmaty czarnej, wilgotnej roli, krajanej w głębokie skiby żelazem pługów chłopskich! Przyszła jej na myśl »gosposia«; zobaczyła ją w tatusiowej chacie, jak się krząta około »święconego«, strojąc biało nakryty stół barwinkiem lub wikliną.

I znów myśl zwróciła do siebie:

— Tak, trzeba żyć. »Jest w naszym kraju tyle sił — jest takie mnogo ludzi« — zadźwięczało jej w pamięci. — Trzeba iść do żywych, szukać silnych i zdrowych — i »niechaj umarli grzebią swoje umarłe«.

Nie czekając na zakonnicę doszła do kościółka. Była to bardzo niewielka świą-

tyńka, kapliczka zaledwie, postawiona w obrębie dziedzińca szpitalnego, lecz tuż przy ulicy, od której otwierała się brama boczna wprost drzwi wchodowych, aby i publiczność z miasta przybywająca mogła w nabożeństwie uczestniczyć.

W tej chwili właśnie brama ta była bardzo szeroko otwarta i stały w niej tłumy. Już przez całe dwa dni ubiegłe gęsta fala przychodniów, zwiedzających groby, przepływała przez nią, by podziwiać arcydzieło smaku i kunsztu Sióstr Miłosierdzia, które co rok większym splendorem otaczały grób Ukrzyżowanego.

Biały marmur grobu, ludzaco z waty naśladowany, białe obłoki gazy, na których spoczywała postać z wosku z pięciu czerwonymi ranami, malowniczo stanowiły kontrast ze świeżą zielenią gęstwiny, otaczającej grobowiec. W tej gęstwinie śpiewały sztuczne słowiki, a przed grobowcem stali dwaj żołnierze — oczywiście rzymscy.

Wyżej, w górze, cały ołtarz tonął w świetle, zasłany wiązkami kwiatów pachnących. Białe, różowe, liliowe hyacenty,

błękitne krokusy, złoty deszcz kwitnącej mimozy, śnieżne gwiazdy narcyzów i świeżo rozwinięty z pęków kwiat trześni — stanowiły wonne, barwne tło, od którego żałośnie odbijała postać Chrystusa w szkarłatnej szacie z berłem trzciniowem w rękę, uwieńczona koroną z cierni... »Ecce homo!«

Ten obraz wielkiego ołtarza odpowiadał nazwie szpitala. — Król boleści, cierniami uwieńczony, z dużymi kroplami krwi, spływającymi po białym czole, był wyobrażeniem ubóstwionego człowieczeństwa tutaj, w tym schronisku chorych, kalek, dogorywających niedobitków ludzkich. Kult bólu, konanie i śmierć w apoteozie, jako święta tajemnica, cierpienie, które zbawia, krew jako cena odkupienia, cała ta religia smutku i pokory, którą na wskrós przesiąknęła atmosfera szpitala, znajdowała w tym obrazie swój pełny, symboliczny wyraz.

Przed majestatem Cierniowej Korony klękały dziś te rozmodlone rzesze. Zagrały organy, zabrzmiał chór głosów dziecięcych, chór sierot z sąsiedniego domu podrzutków.

W ciszy wieczornej, po rosie, daleko

i szeroko rozlegały się te dźwięki nabożne, z wnętrza kapliczki rozchodził się zapach kwiatów i coraz jaśniej jarzyły się świece.

Irena nie weszła do przepelnionej świątyni, lecz stanęła wprost otwartych drzwi i z daleka śledziła przebieg nabożeństwa. Rozpoczęła się procesya. Siostry utworzyły szpaler. Jedna za drugą, ustawione w dwa rzędy, każda z zapaloną świecą w rękę, szły wolno, jak korowód duchów, wywołany zaklęciem z średniowiecznych ruin. Blask świec odbity od białych skrzydeł kornetów, rzucał jasne refleksy na te ascetyczne, rozmodlone, dziewicze twarze, ubierał je w mistyczną aureolę i wyglądały niby ewangeliczna grupa świętych panien, idących na spotkanie zmartwychwstałego oblubieńca.

Organy grały, pobożny orszak okrążał zdala kaplicę, zatrzymywał się, klękał; — pochylały się światła i białe kornety, podnosiły się znowu i sunęły zwolna wśród tej cieplej, kwietniowej nocy, na którą tam, w górze, wysoko, księżyc zlewał fale srebrzystego światła.

Procesya wracała; tłum wiernych zgromadził się przed progiem kaplicy. Na stopniach schodów, po obu stronach, przyklekły ze świecami swemi szarytki, ksiądz wzniosł w górę monstrancję, błysnął świecący krąg ponad pochylonemi głowami, jakoby drugi księżyc na ziemię zstąpił, by odebrać hołdy pobożnych.

— Alleluja! — zagrzmiał donośnym śpiewem głos księdza.

— Alleluja! — wtórował chór.

W tym momencie Irena wcisnęła się w tłum i schyliła się do ziemi. Niepostrzeżenie pod chustką rozwiązała tasemki modrej spódnicy, rozpięła guziki szlafroka i ukryta w ciżbie rozmodlonej zrzuciła ze siebie te szmaty szpitalne.

Została w czarnej, obcisłej sukni, w którą się była zawczasu ubrała. Z pod chustki wyjęła jeszcze czarny, aksamitny beret i wcisnęła na głowę, a potem zwolna, na klęczkach, zaczęła się cofać w kierunku bramy.

Tłum chylił głowę ku ziemi, bił się w piersi, znów wznosił oczy na złotą mon-

strancję, ukazującą się w górze w migotliwym blasku świec woskowych.

Nikt na Irenę nie patrzył.

Gdy ksiądz cofnął się już do wnętrza kościoła, a lud zaczął śpiewać unisono:

— »Wesoły nam dzień dziś nastał« — nagle, w pobliżu kaplicy wszczęła się jakaś wrzawa i zamęt.

Ktoś krzyknął:

— Wody!

Ktoś inny:

— Pali się!

— Nie, nie! to tylko kobieta mdleje.

Wreszcie zagrzmiał okrzyk:

— Złodzieje! — i nie wiadomo było, czy słowo poprostu rzucono w gniewie, jako obelgę, czy też istotnie ktoś w tłumie sięgał do cudzej kieszeni.

Stróże bezpieczeństwa z bramy pośpieszyli do wnętrza dziedzińca, dla zbadania sprawy. Część płochliwszej publiczności pędem zmykała na ulicę, inna część jednak pozostała i w dalszym ciągu wznosiła hymn radosny o wesołym dniu zmartwychwstania.

Irena wyszła na ulicę. Nie spiesząc, nie

oglądając się poza siebie, skrzyła na prawo; nieopodal bramy spotkała Misię i Bronkę. Milcząc, szły dalej razem, aż do najbliższej stacyi dorożek.

Przed kościołem widocznie popłoch już minął. Nabożeństwo kończyło się spokojnie i gdy Irena krok za krokiem oddalała się od Cierniowej Korony, w mroku nocnym gonił ją jeno dźwięk kościelnych organów i głośny śpiew ludu:

Królowo Rajska — wesel się!
Alleluja! Alleluja!



57367